

echa IZERSKIE



Dofinansowane przez
Unię Europejską



„Gazeta finansowana ze środków UE w ramach Planu Strategicznego dla Wspólnej Polityki Rolnej na lata 2023-2027”.
Gazeta opracowana przez Stowarzyszenie LGD Partnerstwo Izerskie.
Instytucja Zarządzająca Planem Strategicznym dla Wspólnej Polityki Rolnej na lata 2023-2027
– Minister Rolnictwa i Rozwoju Wsi.



**PARTNERSTWO
IZERSKIE**
Stowarzyszenie LGD

EGZEMPLARZ
BEZPŁATNY

Kwartalnik „Stowarzyszenia LGD PARTNERSTWO IZERSKIE” • Nr 50 (2025)

Od Redaktora

Przekazujemy dziś naszym Czytelnikom PIĘĆDZIESIĄTE wydanie „Ech Izerskich”. To dla nas ważne, bo odbieramy sygnały, że gazeta spełnia swoje zadanie. Rozumiemy przez to, że komunikuje o sukcesach, jakie osiąga mieszkańcy Pogórza (a może należy powiedzieć „Izerianie”, jak sugeruje jeden z tekstów). Na jej łamach poznajemy się wzajemnie i okazuje się, że wśród nas są przede wszystkim ludzie ambitni, pracowici, kreatywni, systematycznie dążący do spełnienia swoich marzeń i realizacji planów. Mamy nadzieję, że nasze wysiłki, by wesprzeć podejmowanie i rozwój działalności gospodarczej przyczyniają się w wielu przypadkach do przyspieszenia kariery. Mamy wiadomości, że tak się dzieje i ludzie, młodzi i starsi, zaczynający 3-4 lata temu skromną działalność, dziś – stojąc już na własnych nogach – tworzą ją rozwijają. To też jest ważna informacja, oznacza, że jesteście wytrwali i cierpliwi w pracy, nie liczymy na mannę z nieba, ale na to, że nasze pomysły z jednej, a ciężka praca z drugiej strony pozwolą nam cieszyć się sukcesem.

Nas z kolei cieszy także coś innego. Wiele naszych propozycji znalazło dobre echo, jak na przykład hasło „izerskie skrzaty”. Dwa przedszkola – w Mirsku i Lubomierzu – przybrały swoje nazwy właśnie od tych bajkowych istot. Niektórzy rękodzielnicy przygotowują figurki skrzatów, jako ozdoby naszych domów. Pojawiły się dwie książeczki „Opowieści skrzatów izerskich”, cieszące się dużym powodzeniem, być może będą wydane kolejne.

Świat się zmienia, staramy się nadążyć, więc próbujemy „Echa Izerskie” przenosić do przestrzeni cyfrowej, ale uważnie wsłuchujemy się w głos naszych Czytelników, czy to zaakceptują. Z pewnością bylibyśmy szybciej w Waszych domach. Każdy, kto chciałby sięgnąć po takie wydanie, mógłby je znaleźć w wygodnej do czytania formie. Ale... słyszymy, że czytanie papierowej gazety, wydanej w starym, dobrym stylu jest przyjemnością nie do zastąpienia. Zobaczymy, jak się to potoczy.

Naszym Czytelnikom życzymy, by zawsze mieli taką gazetę, jaką chcą mieć, a mamy na myśli przede wszystkim jej treści. Będziemy docierali z dziennikarskimi pytaniami wszędzie, gdzie będzie się coś ciekawego działo i pisali o tym, co się dobrego zdarzyło lub może zdarzyć. Byliśmy z Wami już pięćdziesiąt razy i wciąż chcemy Wam towarzyszyć w Waszych radościach.

Redaktor Naczelna, Bożena Mulik, z Zespołem

Projekt „Dolnośląska Kuźnia III Sektora”



**PUNKT DORADCZY
Partnerstwo Izerskie**

umów się na wizytę
lub skontaktuj się z nami:

ul. Wodna 2,
59-630 Mirsk

LGD Partnerstwo Izerskie

Telefon do biura projektowego: 451 580 845

e-mail: doradcaukuznia@wp.pl

Nowy adres!!!

**Pomagamy rozwijać NGO na Dolnym
Śląsku!**

Projekt współfinansowany z Unii Europejskiej w ramach Programu Fundusze Europejskie dla Dolnego Śląska 2021-2027



Ilustracja otwierająca jubileuszowe wydanie „Ech”, to jeden z obrazów, który zdobi kalendarz Partnerstwa Izerskiego na rok 2026 (o nim – na stronach 10-12. Publikujemy ten obraz właśnie tu z kilku powodów. Przede wszystkim – co oczywiste – ze względu na jego urodę, ale także dlatego, że jego Autorka, Agnieszka Marek z Wieży pod Gryfowem tradycyjnie co roku przeznaczają jedną ze swoich prac na aukcję Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Każdy z naszych Czytelników może stać się uczestnikiem licytacji zdobyć ten obraz, wspierając potrzeby Orkiestry.

Korzystając z okazji, jaką daje ten obraz...

*Składamy Naszym Czytelnikom życzenia pogodnych
Świąt Bożego Narodzenia i najlepszych widoków na przyszłość,
by kolejny rok i następne lata układały się nam radośnie i kolorowo.*

Bożena Mulik, Prezes Stowarzyszenia LGD „Partnerstwo Izerskie” z Zarządem

W 2025 roku rozpoczęliśmy realizację Projektu „Dolnośląska Kuźnia III Sektora” – wspieramy organizacje społeczeństwa obywatelskiego na obszarach wiejskich Dolnego Śląska! Projekt Związek Stowarzyszeń „Dolnośląska Sieć Partnerstw LGD” (wnioskodawca i lider projektu) realizuje projekt „Dolnośląska Kuźnia III Sektora” w partnerstwie z Stowarzyszeniem LGD

„Wrzosowa Kraina”, Stowarzyszeniem LGD „Partnerstwo Ducha Gór” Stowarzyszeniem LGD „Kwiat Lnu”, Stowarzyszeniem LGD „Kraina Łęgów Odrańskich” Fundacją „Zielona Akcja”. Projekt jest współfinansowany z Funduszy Europejskich dla Dolnego Śląska 2021-2027 i ma na celu rozwój oraz instytucjonalizację dialogu społecznego na obszarach wiejskich Dolnego Śląska.

Wzmacniamy potencjał 160 organizacji społeczeństwa obywatelskiego i 320 ich członków, przedstawicieli i wolontariuszy.

W ramach projektu realizujemy m.in.: **Edukację liderów lokalnych – szkolenia w ramach „Szkoły liderów społeczności lokalnych” i „Zielonego Lidera”, Rozwój sieci współpracy NGO – organizacja kongresów i powołanie**

Dolnośląskiej Federacji Organizacji z Obszarów Wiejskich, Doradztwo prawne, księgowo i organizacyjne w 16 punktach doradczych na terenie Dolnego Śląska, Profesjonalizację działalności organizacji i liderów poprzez warsztaty, szkolenia i wizyty studyjne.

Projekt potrwa do końca grudnia 2027 roku i jest skierowany do organiza-

cji działających na obszarach wiejskich Dolnego Śląska. Chcemy wspierać liderów i organizacje w ich działaniach, zwiększając ich kompetencje, wzmacniając współpracę i promując dobre praktyki.

Zapraszamy do punktu doradczego na obszarze LGD Partnerstwo Izerskie.

Skrzat i świat

Wygląda na to, że skrzaty, w rozmaitej postaci, powoli opanowują świat, a przynajmniej tę jego część, które zajmuje Pogórze Izerskie. W kwietniu 2025 lubomierskie przedszkole otrzymało imię „Kolorowych Skrzatów”. W Mirsku już od kilku lat istnieje też przedszkole im. Izerskich Skrzatów, a nawet Klub Dziecięcy „Skrzacik”. Partnerstwo Izerskie ma w swoim posiadaniu ogromne wdzianka dla skrzatów, na tyle duże, że mogą je przywdziać dorośli ludzie (co się niekiedy zdarza, szczególnie w okresie rozmaitych imprez). Wydano już dwie edycje książeczki – „Opowieści Izerskich skrzatów”, gotowa do druku jest trzecia jej część. Takich informacji mamy wiele, a ostatnio odwiedziliśmy dom, w którym skrzaty czują się, jak u siebie.

– Rzeczywiście, mieszkają z nami – potwierdza ich twórczyni, Alicja Langner ze Skorzynic, nieopodal Lwówka Śląskiego. – Ale one wszyst-



Uznała, że postać przyjaznego skrzata będzie najwłaściwszą świąteczną ozdobą. Powstał pierwszy, potem drugi i kolejne... Znajomym te postacie bardzo się podobały, więc pierwsze skrzaty odeszły w formie prezentów, a pojawiły się następne, pracowicie dziergane w wolnym czasie. Sława skrzatów rozlała się szeroko, więc naturalną kolejną rzeczą wiele osób chciało je mieć. A. Langner zorganizowała warsztaty, w trakcie których każdy mógł sobie wykonać własnego skrzata, zgodnie z upodobaniami i talentem. Pierwsze warsztaty w Skorzynicach zostały zorganizowane w okresie kiedy funkcję sołtysa sprawował Bartosz Szymański, później te obowiązki przejęła Angelika Giecwicz i z sukcesem kontynuowano tę działalność.

– Dzieci często pytają, dlaczego nie widać oczu spod czapek naszych skrzatów – usłyszeliśmy. – Odpowiadam wtedy, że skrzaty żyją w mroku, więc jasne słońce dnia mogłoby im zaszkodzić, stąd też czapki mają nasunięte na oczy. Z reguły ta informacja najmłodszym wystarcza, staje się inspiracją do rozmaitych bajek o skrzatach, ale faktem jest, że nie wszystkie przygotowywane przeze mnie figurki są skrzatami z definicji. Bywają i inne, też świąteczne, jak króliczki na Wielkanoc, czy jelonki, pewnie pojawią się kotki – przytulanki, może

pieski... Teraz powstają głównie skrzaty – chłopcy, ale w przygotowaniu są już projekty skrzatów – dziewczynek. To naturalne, w końcu do filmowych Bolka i Lolka doszła po pewnym czasie Tola, więc i izerskie skrzaty powinny żyć w harmonii płci.

Praca przy ich wytwarzaniu jest dla mnie okazją do wyciszenia po całym dniu, w którym od czasu do czasu zdarzają się nerwowe chwile. Wymyślanie wzorów, potem ich wykonywanie, projektowanie konstrukcji, żeby były stabilne, kompozycja kolorów... To wszystko jest świetnym relaksem. Nie myślę tymczasem o oferowaniu ich do sprzedaży, nie przepadam za jarmarkami, zresztą skrzaty nie są przecież „artykułem pierwszej świątecznej potrzeby”. Ale dla mnie stanowią wytchnienie i okazję, żeby przynieść trochę radości. Zwłaszcza gdy widzę, jak uczestnicy warsztatów mają wiele satysfakcji z tego, że sami potrafią zrobić coś, co się podoba nie tylko im. A że wspólna praca daje też wspólną sąsiedzką satysfakcję i stanowi znakomity pretekst do wymyślenia bajek – to tym lepiej. Postacie skrzatów są znakomitym uzupełnieniem okresu przygotowań do świąt, bo przynoszą odrobinę tej niezbędnej magii. Ale i poza świętami mogą być pretekstem do wspólnych zabaw i w tym tkwi ich moc.



Skorzynickie skrzaty przybierają niekiedy postać jelonków

kie są ruchliwe i ciekawe świata, więc przychodzą i odchodzą. Te, które się z nami żegnają, idą do przyjaznych sobie domów, a przychodzą do nas kolejne, stąd nie odczuwamy pustki...

Ta opowieść jest nieco bajkowa, ale też prawdziwa. A. Langner bowiem swego czasu postanowiła, że przygotowuje świąteczne dekoracje swojego domu.



Wspólna – ze skrzatem izerskim – fotografia uczestników jednego z jesiennych warsztatów w Skorzynicach

Z Zawidowa

Wszędzie bliżej, niż do Warszawy

Może nie wszędzie, ale... Spośród 5 stolic krajów europejskich, w tym stolicy Polski, właśnie do Warszawy z Zawidowa jest najdalej. Do Pragi raptem 151 km, do Berlina 296, Do Bratysławy – 466, a do Wiednia – 472. Do „własnej” stolicy, gdzie trzeba załatwiać od czasu do czasu przeróżne sprawy – 531.

Oczywiście – ta przypadłość dotyczy zdecydowanej większości miejscowości leżących na obszarze Pogórza Izerskiego, ale zwróciliśmy na nią uwagę z punktu widzenia Zawidowa, bo akurat w tym mieście nie tylko odświeżone wyjazdy mają znaczenie, a i codzienne funkcjonowanie. Można powiedzieć choćby dlatego, że do Czech Zawidowianie mają dokładnie (i dosłownie) ... jeden krok. Granica RP przebiega bowiem po linii granicy miasta. Do Gorlitz to 14 – 16 km (w zależności od trasy, więc gdyby ktoś jeździł do pracy nawet rowerem, to specjalnie by się nie zmęczył).

Czy to wygodne żyć w cichym zakątku Polski, a aktywność zawodową, czy towarzyską przejawiać to w Czechach, to w Niemczech? To temat na zupełnie inną okazję, do którego powrócimy.

Realizacja Planu Komunikacji ze społecznością lokalną na obszarze LGD Partnerstwo Izerskie

Na obszarze LGD Partnerstwo Izerskie realizowany jest Plan Komunikacji ze społecznością lokalną, czyli strategia komunikacji LGD, która określa warunki aktywnego i ciągłego uczestnictwa lokalnej społeczności w bieżącym wdrażaniu lokalnej strategii rozwoju oraz budowaniu potencjału kapitału społecznego na obszarze objętym Lokalną Strategią Rozwoju. Plan Komunikacji ze społecznością lokalną zakłada szereg działań związanych z animowaniem i aktywizacją społeczności lokalnej przy realizacji Lokalnej Strategii Rozwoju na lata 2023-2027 w ramach PS WPR. Najważniejszym zadaniem jest animowanie mieszkańców do aktywnego udziału w aplikowaniu o środki, informowanie potencjalnych wnioskodawców o celach LSR i sposobie jej realizacji, kryteriach oceny operacji, zasadach przyznawania środków w ramach wsparcia z budżetu LSR. LGD zaplanowała w Planie Komunikacji różne narzędzia komunikacyjne, takie jak spotkania, warsztaty, strony internetowe, media społecznościowe itp., aby zapewnić dostęp do informacji, promować zaangażowanie i budować więzi między członkami LGD.

Zgodnie z planem komunikacji biuro LGD

prowadzi kampanię informacyjną na temat głównych założeń LSR za pomocą narzędzi internetowych a także prowadząc doradztwo bezpośrednie oraz organizując szkolenia i spotkania animacyjne, w celu informowania mieszkańców o możliwości włączenia się we wdrażanie LSR i rozpowszechniania informacji o efektach tej strategii, informowania o możliwości realizacji wspólnych projektów m.in. partnerskich i w partnerstwie.

Na obszarze LGD zaplanowano realizację trzech celów, które zostały sformułowane na podstawie analizy potrzeb rozwojowych i potencjałów obszaru oraz problemów i potrzeb społeczności lokalnej. Wszelkie działania prowadzone przez LGD mają na celu systematyczną realizację założeń LSR, celów, przedsięwzięć oraz przyporządkowanych wskaźników.

Na obszarze LGD Partnerstwo Izerskie w 2025 roku w Centrum Edukacyjnym „Zielarnia Benedyktyn” odbywały się spotkania informacyjne dotyczące animowania społeczności lokalnej. W listopadzie został przeprowadzony nabór na działanie w zakresie Poprawy dostępu do małej infrastruktury turystycznej i rekreacyjnej. Przez

cały rok w biurze LGD działa punkt informacyjny, gdzie potencjalni Beneficjenci mogli uzyskać informacje o celach LSR, sposobie realizacji LSR, kryteriach oceny operacji, zasadach przyznawania środków w ramach wsparcia z budżetu Lokalnej Strategii Rozwoju. Na bieżąco prowadzone są badania ankietowe monitorujące jakość stosowanych metod komunikacyjnych i animacyjnych oraz dotyczące informacji zwrotnej na temat jakości doradztwa. Na zakończenie roku zostanie przygotowany raport podsumowujący działania komunikacyjne i animacyjne w 2025 roku.

Działania mające na celu animowanie lokalnej społeczności przez Stowarzyszenie Lokalną Grupę Działania – Partnerstwo Izerskie w ramach Planu Strategicznego dla Wspólnej Polityki Rolnej na lata 2023-2027 dla interwencji I.13.1 LEADER/Rozwój Lokalny Kierowany przez Społeczność finansowana ze środków Unii Europejskiej w ramach EFRROW.

Instytucja Zarządzająca Planem Strategicznym dla Wspólnej Polityki Rolnej na lata 2023-2027 – Minister Rolnictwa i Rozwoju Wsi.

Nie mam ani sekundy...

Trzeba mieć czas, by nie liczyć czasu

Ileż razy słyszeliśmy z ust spieszącego się znajomego takie słowa przeprosin, że nie może przystanąć na chwilę rozmowy. „Nie mam chwili, nie mam minutki...” – mówi się niekiedy. Czas – jak się okazuje – jest pojęciem względnym. Nomen omen – swego czasu budowano zegary tylko z jedną wskazówką – godzinową. Druga, minutowa, nie była potrzebna. Ludzie mieli więcej czasu, zresztą rytm życia regulowało słońce. Jak ono wstawalo, wstawali i oni.

Historia powstawania zegarów jest wyjątkowo ciekawa, bo mało kto wie, że ponoć pierwszy zegar w historii skonstruował... papież Sylwester II około roku 1000. Wynalazku dokonał nie będąc jeszcze papieżem, a prostym mnichem, Gebertem z Aurillac i tak został zapisany w historii. A za wynalazcę pierwszego zegarka uznaje się Petera Henlaina, który stworzył swój czasomierz w roku 1500. Jak one, tamte „zegarki” wyglądały? – trudno powiedzieć Zapewne w ogóle nie miały wskazówek, a upływ czasu sygnalizowały dźwiękiem. Wskazówki pojawiły się dopiero na przełomie XVI/XVII w.

Czy istnieją zegarki naręczne z jedną wskazówką? Owszem! Produkuje je renomowana firma MeisterSinger, której dewizą jest, by nie liczyć każdej sekundy, potrafić cieszyć się chwilą zdając sobie sprawę upływu czasu. Z pewnością nie są to zegarki dla każdego, bo trzeba mieć czas, by nie liczyć czasu. I sporo pieniędzy, żeby kupić taki frymuśny zegarek.

A skąd ten tekst o jednowskazówkowych zegarach znalazł się na łamach „Ech Izerskich”? Otóż na naszym terenie, dokładnie w Dziwiszowie na kościele jest właśnie jeden z takich zegarów. Nie-



łem braci – zegarmistrzów z rodziny Mogwołow i postanowiono oczyścić, zaprezentować, a w konsekwencji – osadzić obie tarcze na wieży kościelnej i uruchomić. Inspiratorem i organizatorem tej pracy był wiceprzewodniczący Rady Gminy. Z jego inicjatywy zebrano niemal 30 tys. zł niezbędnych do sfinalizowania całego procesu. W marcu 2016 roku zegar zawisł na murze wieży kościoła i wybija godziny.

Partnerstwo Izerskie może się więc pochwalić takim zabytkiem, który zdobi najbardziej znane i okazałe świątynie w największych, najatrakcyjniejszych miejscach w Polsce.



zorientowani, a uważni patrząc nań są przekonani, że zegar jest uszkodzony, a okazuje się, że jest zegarmistrzowskim rarytatem, jednym z niewielu takich w Polsce. Jednowskazówkowe zegary istnieją w kilku największych polskich miastach, m.in. w Warszawie, Krakowie, czy Gdańsku, ale też Świętej Lipce i Toruniu. Wszędzie – na obiektach sakralnych, łącznie z Krakowem – na wawelskim Kościele Katedralnym.

W Dziwiszowie na kościele pw. św. Wawrzyńca też możemy zobaczyć taki właśnie zegar, pochodzący z 1800 r. Leciwy czasomierz wciąż jest czynny (a właściwie – znowu jest czynny) po gruntownej rewitalizacji, przeprowadzonej niemal 7 lat temu. Odnaleziono go w trakcie remontu świątyni w 2014, ustalono, że jest dzie-

A skoro już o mierzaniu czasu w przeszłości mowa, to warto wiedzieć, że pierwsze przyrządy i sposoby pomiarów upływu czasu to urządzenia naturalne – zegary słoneczne i wodne, a później piaskowe i ogniowe. „Ogniowe” brzmi groźnie, ale to chodzi o świece, które były tak odlewane, że okres spalania łatwo było zmierzyć i porównać. Piaskowe – to rodzaj klepsydr, podobnie jak wodne. Zauważmy, że zegary jednowskazówkowe są w swojej idei podobne do słonecznych. Z obu można odczytać godziny, a nie minuty. Na terenie Pogórza Izerskiego zachowały się jeszcze – wprawdzie nieliczne – zegary słoneczne. Jeden z nich na budynku szkoły we Lwówku Śląskim.

Kieszeń pełna miodu!

W Mikułowej, gmina Sulików powstał „miododajny ogród kieszonkowy. To w zamyśle ma być miejsce przyjazne i ludziom, i owadom, przede wszystkim – pszczołom. Z pozyskanych z funduszy zewnętrznych środków zakupiono całe wyposażenie tego ogrodu – skrzynie, pergole, rośliny i ziemię, a ponadto nasiona traw, narzędzia ogrodnicze, itp. O powstanie tego ogrodu zadbało lokalne stowarzyszenie „Wspól-

nie w przyszłość Mikułowa”, ale nie byłoby szans na finalizację tego projektu, gdyby nie grant Polskich Sieci Energetycznych. Spółka ta inwestuje nie po raz pierwszy w rozmaite działania w gminie Sulików, bowiem tutaj istnieje sporo infrastruktury Sieci.

Wiosną dopiero będzie można ocenić, jak bardzo przejęły się tym prezentem pszczoły i jak zasobna stała się ta „kieszeń”.

Co to logo?

Co to – logo? Z definicji – „unikalny znak graficzny, reprezentujący firmę, markę, produkt bądź organizację” itp. Służy do identyfikacji, a u klientów, czy zainteresowanych przynależnością do organizacji ma wzbudzać pozytywne skojarzenia i emocje.

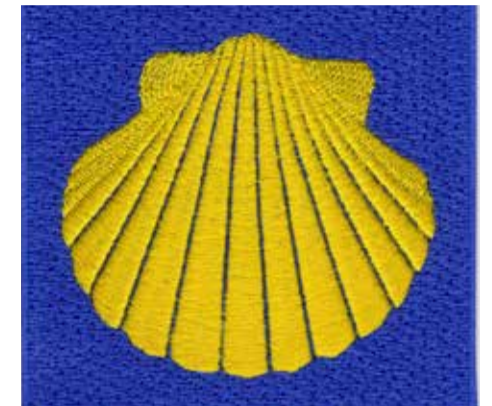
Czym się różni od logotypu (choć wielu – niesłusznie – uważa, że to są te same pojęcia)? Logotyp to stylizowany napis (jak „Coca Cola”), a „sygnet” to abstrakcyjny symbol lub ikona, często powiązana z nazwą firmy. Nieporozumienie co do określeń bierze się właśnie stąd, że rzadko występują w czystej postaci, stąd popularnie przyjęło się, że „logo” jest uniwersalnym określeniem na wszystkie tego rodzaju znaki.

Logo Partnerstwa Izerskiego stanowi stylizowana „muszla św. Jakuba”, będąca nie tylko atrybutem św., ale i oznaczeniem drogi, którą pielgrzymi wędrują do katedry w Santiago de Compostela, w północno-zachodniej Hiszpanii. Niejednej – trzeba dodać – drogi. bowiem jedynym celem takiej eskapady jest katedra, ale pielgrzymki zaczynają się z wielu miejsc świata, więc uniwersalny drogowy, jakim jest muszla, pomaga w odnalezieniu właściwego traktu.

Droga św. Jakuba (Camino de Santiago) ma już ponad tysiąc lat i stanowi jedną najważniejszych sieci pielgrzymich wędrowek. Można powiedzieć, że jest trzecim celem dla wiernych, po Rzymie i Jerozolimie.

Podstawą logo jest muszla, ale znaki wskazujące szlak pielgrzymki nie zawsze ją przypominają, a przynajmniej – nie od razu. Logo Partnerstwa z kolei uzupełnione jest o czerwoną płamkę, która jest jeszcze innym symbolem, mówiącym o tym, że właśnie u nas istniały perły słodkowodne, m.in. w Kwisie, czy Kocim Potoku. Taki nieoczywisty duet symboli – muszla św. Jakuba i perła z Kwisy stanowi jeden z najbardziej oryginalnych oznaczeń marki, jaką przez lata stało się Partnerstwo Izerskie.

Niełatwo jest wskazać element wspólny dla wszystkich kilkunastu gmin Partnerstwa Izerskiego. Muszla św. Jakuba w ogromnym stopniu spełnia tę rolę, bo przez obszar Partnerstwa przebiega spory odcinek szlaku św. Jakuba. Uzupełnienie o perłę jednoznacznie wskazuje obszar, bo poza kilkoma rzekami i potokami na Pogórzu trudno wskazać inne miejsca, gdzie skójka perłorodna występowała w takiej ilości. I dlatego m.in. trwają w tej chwili prace plastyków, którzy po-



szukują optymalnego materiału, z którego będzie można wykonać pamiątkową statuetkę, nawiązującą do wyglądu i idei logo, a będącą szczególnym wyróżnieniem dla osób, które przyczyniają się do rozwoju Partnerstwa i wzbogacaniu jego programu pracy.

Mury już nie bronią, ale zdobią

Mury miejskie Gryfów Śląskiego są niedocenianym elementem historycznego krajobrazu, może dlatego, że – w odróżnieniu od Lwówka Śląskiego – ciągłość ich przebiegu nie jest tak oczywista. Ale sama opowiadka o murach i spacer wzdłuż istniejących wciąż fragmentów wystarczy interesującą wycieczkę.

Pierścien murów obronnych Gryfów zaczął stawiać książę Bolko I świdnicki, co oznacza, że początek ich powstawania należy wiązać z rokiem 1300. Wzniesiono je z polnego kamienia. W ich ciągu pojawiły się początkowo trzy bramy wjazdowe po których dziś nie ma znaczącego śladu – Żytawska, Lubańska i Jeleniogórska. Ok. roku 1513 zdecydowano się na budowę kolejnej – Kościelnej, nazwanej niekiedy Lwówecką, potem wybudowano jeszcze mniejszą furtę „Garncarską”. Na począt-

ku XV w. wydano zgodę mieszczanom na podwyższenie murów, co pozwoliło na zabudowę bram na tyle wysoko, że nam nimi powstały mieszkania dla strażników.

Wszystkie bramy straciły ostatecznie na znaczeniu w trzeciej dekadzie XIX w. kiedy do historii przeszedł obowiązek opłaty drogowej. Niedługo później rozpoczęło się wyburzanie bram. Pierwszą ofiarą padła Jeleniogórska w 1837 roku, po niej wyburzono Garncarską...

Dziś pozostałe, wciąż imponujące, fragmenty miejskich murów można zobaczyć nad Kwisą i Olzą.

Stąd także świetnie widać, jak malownicza jest „kaskadowa” zabudowa zbczocy, nad którymi piętrzą się domy gryfowskiej Starówki.



Celuloidowy mit stworzył realną szansę

Czy istnieje Lubomierz bez Kargula i Pawlaka

Na proste z pozoru pytanie: Czy wyobraża sobie Pani/Pan Lubomierz pozbawiony mitu Kargula i Pawlaka? – większość zapytanych lubomierzan odpowiada zdecydowanie – NIE!

Trzeba prawdzie spojrzeć w oczy – powszechna wiedza o tym, że w tym miasteczku kręcono tę kultową komedię jest trochę... „nieprecyzyjna”, żeby nie powiedzieć mocniej. To genialna intuicja animatorów pomysłu, żeby wszystkim tak właśnie opowiedzieć. A potem zorganizować Festiwal Komedi Filmowych pod tytułem „Sami Swoi”, podporządkować niektóre aspekty życia w miasteczku temu mitowi sprawie, że właśnie Lubomierz na trzy dekady zaważadną wyobraźnią miłośników tej komedii.

– Rzeczywiście – powiedział nam Łukasz Pludra – prawda jest taka, że sceny „miejskie” kręcono w Lubomierzu, sceny wiejskie we wsi Dobrzykowiec pod Wrocławiem, 80% scen we wnętrzach kręcono w studiach wrocławskiej Wytwórni Filmów Fabularnych we Wrocławiu, a niektóre plenery gdzieś w kamieniołomach, i innych. Łącznie, zgodnie z prawdą „Sami Swoi” powstawali w DWU-NASTU różnych miejscach Dolnego Śląska. Ale to w naszym Muzeum Kargula i Pawlaka stoi jedyne zachowane przeszło płotu, przez który wadzi się Kargul i Pawlak, to my mamy największe muzeum tego filmu, w końcu – to my, z Lubomierza tak skutecznie przekonaliśmy widzów i amatorów do polskiej komedii filmowej, że wszyscy chcieli uwierzyć nie tylko w tę celuloidową bajkę. A jeśli chcieli – to wierzą. Z uśmiechem, z przymrużeniem oka, znając prawdę, wierzą w mit. To efekt społecznej fascynacji i wiary tych kilku osób sprzed trzydziestu lat, że można i trzeba.

Lubomierz na nowo „zbudował się” na tym przekonaniu. Już za kilka miesięcy, 7 – 9 sierpnia 2026 odbędzie się 38. Festiwal i kilkanaście tysięcy gości zajdzie do Muzeum Kargula i Pawlaka, zerknie na ogródki działkowe „Sami Swoi”, przejdzie się ulicą Waclawa Ko-

walskiego, odwiedzi Zaulek Filmowy, gdzie zamontowanych jest już mnóstwo tablic z nazwiskami tuzów polskiej komedii filmowej.

– Można powiedzieć, że przekonaliśmy wszystkich rozmaitymi działaniami do Lubomierza – mówi Łukasz Pludra – To przekonanie nie wzięło się znikąd, a z lubomierskiej determinacji. W Muzeum zgromadziliśmy ekspozycję z filmu, pozyskane z Wytwórni Filmów Fabularnych. Są tu też przedmioty, które „zagrały” w filmie, a stanowiły własność lubomierzan, którzy je użyczyli. Sztandarowym jest „święty obraz”, który na targu, na którym Witia miał kupić kota, a kupił konia nosił pan Albin, dziadek jednej z kilkorga inicjatorek idei Festiwalu, Jadwigi Sieniuc. Obraz po filmie trafił na ściany mieszkania, a stamtąd – do Muzeum.

Samo Muzeum, do którego wejścia strzegą figury – a jakże – Kargula i Pawlaka, też skorzystało z filmowej bajki całkiem realnie. Początkowo w najstarszym ocalałym domu Lubomierza zajmowało dwa pokoje, trzeci używała redakcja Miesięcznika „Sami Swoi”, a poza tym było kilka mieszkań, wspólna sień, itp. Dziś, po głębokiej modernizacji i rewitalizacji wszystkie pomieszczenia należą do Muzeum, w którym rozmaitość zbiorów przytacza. Łącznie z nieprawdopodobnie wiernymi portretami ludzi filmu, na-

rysowanymi ołówkiem. Konwie na mleko, stare łóżko, kaflowy piec... setki drobiazgów, które dla dzisiejszych dwudziestolatków są równie archaiczne, jak kości mamuta.

– Pokazywałem kiedyś młodzieży szkolnej proz – wspomina Łukasz Pludra. Ani nazwa, ani sam przedmiot nie kojarzył się im z niczym. Ale odłączyłem kabel z wtykiem i wtedy ktoś spytał co to jest. Tłumaczyłem, że z jednej strony gniazdko, z drugiej wtyczka... nie dochodziło. Zażartowałem z bezsilności (pamiętając, że takim kablem rodzice czasami zaprowadzali porządek w domu), że jest to „urządzenie do przywracania ustawień fabrycznych”. I wtedy młodzież pokiwała głowami ze zrozumieniem, bo wszyscy wiedzą, co to są ustawienia fabryczne, ale nikt nie wie – co to proz... Takie czasy.

Mit Kargula i Pawlaka ani sam się nie stworzył, ani sam nie okrzepł. Mnóstwo ludzi włożyło ogrom pracy, by powstał i przetrwał. Wymyślono Złote, Srebrne i Brązowe Granaty – jako symboliczne nagrody za popularne komedie. Odbywały się edycje Festiwalu Kina Niezależnego „Zawlecza”, w woreczkach można było nabyć „ziemię z Krużewnik”, którą filmowi bohaterowie przywieźli na Ziemię Odzyskaną, by posypywać groby, gdy już odejdą z tego świata na obcej



Pludra – film dał Lubomierzowi szansę i początek w formie Festiwalu. Tę szansę trzeba wykorzystać szerzej, bo przecież jest tu tak wiele kapitalnych zabytków, że one teraz mogą już na popularność miasteczka pracować samodzielnie. Dom Płucienników to – poza siedzibą Muzeum – atrakcja sama w sobie. Niezbyt wiele miast, a już szczególnie wielkości Lubomierza ma obiekt, który pochodzi z... 1595 roku! Odrestaurowany i unowocześniony bez ingerencji w historyczną substancję jest sporą atrakcją. Zachował się w całości. Jest wprawdzie w Lubomierzu inny dom, starszy jeszcze o kilka lat, bo z 1584 roku, ale tam ocalała tylko frontowa ściana.

o Lubomierzu. A jest jeszcze Pławna, z Zamkiem Legend Śląskich i Muzeum Przesiedleńców, zaporą w Pilchowicach ze słynnym, też „filmowym” mostem, cudowanie ocalałym, Dziki Wąwóz w Maciejowcu, Wleń z dwoma pałacami i zamkiem, Gryfów z kościołem św. Jadwigi i murami obronnymi, Proszówkę z ruinami zamku Gryf. Razem to daje pomnożoną wartość usługi informacyjnej, w zasadzie bezinwestycyjnie. Może powstanie taka nasza „Mała Unia Turystyczna”. A przyjeźdźni otrzymają szansę zobaczenia w jeden dzień bardzo wielu atrakcyjnych miejsc, o istnieniu których nie mieli pojęcia.



Dom Płucieników nie wyglądał dawniej tak efektownie, jak dziś, po zakończonej rewitalizacji

ziemi. Takich detali, dzięki którym mit ożywa na trzy dni w roku w wielkim hałasem, ale trwa przez cały rok i karmi kolejne pokolenia jest mnóstwo.

– Mamy jednak świadomość – mówi Łukasz Pludra – że przed nami konieczność przemodelowania po raz kolejny pierwotnego pomysłu. Wprawdzie ilekroć podczas Festiwalu, czy przy innych okazjach wyświetlamy film „Sami Swoi”, to wszystkie miejsca widowni są zajęte, ale widzów, którzy rozumieją ten film, i których on naprawdę bawi jest już coraz mniej. Myślimy o zmianie formuły, z uszanowaniem dla tradycji tych trzech komedii, by zorganizować Festiwal z uwzględnieniem współczesnych komedii, z większym ich udziałem w programie. Może trzeba (z żalem – oczywiście) rozstać się z nazwą Muzeum Kargula i Pawlaka, a w to miejsce zorganizować Muzeum (lub wręcz Centrum Komedii Polskiej). Samo słowo „Muzeum” jest dla wielu zniechęcające.

Przyjeżdżają do Lubomierza aktorzy polskich komedii filmowych. Początkowo na zaproszenie, ale ujęci atmosferą miasteczka, wielu przyjeżdża później już prywatnie. To też jest wartość dodana, uzyskana dzięki idei „Samych Swoich”, ale istniejąca już niezależnie. Warto ją wykorzystać. Są przetarte szlaki do oryginalnych form promocji, nie tylko w mediach społecznościowych, ale nawet w formie komunikatów w pociągach Kolei Dolnośląskich.

– W dodatku – zauważa Łukasz

Są kościoły, w tym ogromna świątynia pw. WNMP i św. Maternusa, z mumiarnymi biskupów, wmontowanymi w ołtarz, przewodnicy po tym kościele są w stanie opowiadać o nim ciekawie przed dwie godziny, nie nudząc słuchaczy, bo i ponad 200 relikwii rozmaitych świętych dla jednych, i kilkadziesiąt wyobrażeń aniołów dla drugich są nie byle jaką atrakcją. Nie chcemy się puszyć i rywalizować z Krzeszowem, ale nasze kościoły zasługują też na odwiedzin, szczególnie tych grup, które są zainteresowane turystyką religijną. Mamy zachowany jeden z nielicznych na Dolnym Śląsku pręgierzy, zrewitalizowany Rynek, tworzy się atrakcyjna „izba pamięci” w miejscowej remizie, odnowione ogrody benedyktyńskie są świetnym miejscem do relaksu... Ludzie tu nie żyją z turystyki, chociaż przy odpowiednich działaniach promocyjnych niektórzy mogliby właśnie w tym znaleźć zajęcie. A szukać takich szans trzeba, bo jeśli wyjadą młodzi, ambitni, z inicjatywą i znajdą zatrudnienie gdzie indziej, to będziemy mieli kłopot.

Przy czym... – kończy Łukasz Pludra – szansę na sukces widzę w sprzęgnięciu działań rozmaitych podmiotów, w okolicznych miejscowościach. Zaczęliśmy już nawet współpracę promocyjną z niektórymi z nich. Ktoś, kto trafi do Muzeum w Lubomierzu i pyta, co tu można w okolicy zobaczyć, dostaje wskazanie na Wieżę Książęcą w Siedlęcinie. Tam koledzy informują

Historia pisana skrzydłami

Nie tylko gołębie

Z pozoru ten tytuł kojarzy się z Wleniem, w którym stoi jedyny pomnik gołębi, a właściwie dziewczyny z gołębiami. Ale jeszcze więcej praw do takiego tytułu ma Jeżów Sudecki, który niedawno obchodził jubileusz 100-lecia szkolenia szybowców. Na dzisiejszej Górze Szybowcowej (dawniej zwanej – Szubieniczną), wznoszącą się ponad 560 m n.p.m. rozpoczęto naukę latania. Do dziś szacuje się, że wyszkolenie tutaj odebrały dziesiątki tysięcy szybowców. W jeżowskich zakładach budowy szybowców powstała legenda – szybowiec Grunau Baby, którego egzemplarze istnieją (i latają) do dziś. Z czasem inicjatywa się rozwijała – nie tylko szkolenie szybowców, produkcja szybowców, ale też to miejsce stało się „mekką” dla paragłajtów. Ich piloci wybiegają właśnie ze szczytu Góry, by później, czasami przez długie godziny – wisieć wysoko w powietrzu. Modelarze Jeżowa Sudeckiego znani są w całej Polsce ze swoich osiągnięć, więc skrzydła wciąż zapisują historię miejscowości.



Piły pójda w ruch?

Jeden powiat, dwa sposoby, dwa efekty



Sporo emocji wywołuje – i trudno się dziwić – sprawa przebudowy drogi na odcinku Lwówek Śląski – Pasiecznik. Początkowo drogę zamknięto, po kilkutygodniowych problemach w końcu listopada znowu otwarto, co świadczy o tym, że coś w przygotowaniu inwestycji poszło nie tak. Niezależnie od ocen jeden fakt budzi powszechne zainteresowanie – przebudowa tej drogi ma być kresem istnienia PÓLTORA TYŚIĄCA drzew, najczęściej w niezłym stanie, zdrowych i mocnych. Urzędnicy zajmują się uzupełnianiem dokumentów, a mieszkańcy dyskutują o potrzebie (braku potrzeb) takiej masowej wycinki.

Jedni są za pozostawieniem drzew, a wręcz poprowadzeniem drogi w inny sposób, argumentując, że koszty pewnie nie będą znacząco większe, a droga nowa, a nie modernizowana i oszczędzi się drzewa. Inni są za wycinką, przekonując, że drzewa przydrożne są główną przyczyną wypadków. Zda-

niem policji przyczyną dramatycznych zdarzeń jest z reguły zbyt szybka jazda, a nie drzewo. Rozpędzony samochód, jadący zbyt szybko drogą bez drzew może trafić w betonowy przepust w rowie i skutek będzie jeszcze bardziej tragiczny. Wielu kierowców mówi – nie bez racji – że taka droga, jak odcinek Golejów – Pasiecznik nie będzie się nigdy nadawała do szybkiej jazdy ze względu na strone stromej jazdy i podjazd na zakrętach. Jeśli będzie relatywnie węższa, mająca drzewa po obu stronach jezdni to może rozsądnym kierowcom sugerować zmniejszenie prędkości do bezpiecznej. Patrząc więc przewrotnie – im więcej jest drzew, tym kierowcy jeżdżą rozważniej i wypadków jest mniej, a jeśli już, to nie mają one aż tak tragicznych skutków.

Jak się to wszystko skończy – trudno przesądzić. Drogi Pogórze Izerskiego najczęściej są – jak to w takim terenie – relatywnie węższe, niż na nizinach, bardziej kręte, bo prowadzą w takim

właśnie obszarze. A skala planowanej wycinki jest porażająca.

Ten odcinek drogi nie jest jedynym przypadkiem na Pogórzu, w którym drzewa rosną blisko niezbyt szerokiej jezdni. Dla zilustrowania tej tezy publikujemy zdjęcie odcinka drogi z Zaręby w kierunku Włosienia. Piękne, stare drzewa, bardzo jaskrawo oznaczone, układają się w czytelny tor jazdy, bezpieczny dla wszystkich rozsądnych kierowców.

W odróżnieniu od wspomnianej drogi przez Golejów zakończony bardzo późną jesienią remont dróg w okolicach Wlenia (w tym na odcinku Pilchowice – Wleń) nie spowodował uszczerbku w drzewostanie, a sprawił, że jedzie się tam komfortowo, nawet w trudnych warunkach atmosferycznych. W trakcie remontu przejazdu były – co oczywiste – kłopotliwe, ale możliwe. A to wszystko się dzieje przecież w jednym powiecie.

Jakub Boehme

Niezapomniany?

Bez większych fajerwerków minęła okrągła 450 rocznica urodzin niezwykłego szewca z Zawidowa, Jakuba Boehme, który był nie tylko piewcą i mistykiem protestantyzmu, ale – co nieczęsto jest zauważane – korygował zapatrywania swego mistrza i duchowego przywódcy, Marcina Lutera. Zorganizowany przez Ośrodek Kultury w Zawidowie koncert z tej okazji i dyskusja emisji filmu „Jakub Boehme. Życie i twórczość” były ważnymi akcentami tej rocznicy. Wprawdzie Boehme urodził się nie w samym Zawidowie, ale we wsi Stary Zawidów, w dzisiejszej gminie Sulików, niemniej akurat ta wieś nie przejawia specjalnego zapału, by się chwalić najslawniejszym szewcem w historii całego regionu. Szewcem, bo ze względu na marną posturę i takie same perspektywy uzyskania dobrego zawodu wymagającego jednak ciężkiej pracy J. Boehme został przeznaczony do naprawy butów. Miał niewiele ponad 20 lat, gdy kupił kram szewski na przedmieściu Nyskim w Zgorzelcu. Ponoć przełomem w jego życiu było objawienie, jakiego doznał w swoim warsztacie, w 1600 roku. Szewstwo zeszło na drugi plan, a mistyk przez kilkanaście lat usiłował coraz głębiej rozumieć sprawę dobra i zła. To był cel jego indywidualnych studiów. Odrzucał tezę luterzańskich pastorów, że zło jest częścią bożego planu, które ma uczynić człowieka dobrym. Optował za tezę, że ze zła może powstać tylko zło.

Ze współczesnego punktu widzenia, w którym wystarczy kilkanaście pasków informacyjnych na ekranie telewizora, by widzowie weń wpatrzeni uznawali, że posiadli całą niezbędną wiedzę dnia działalności szewca Jakuba jest dziwna. Dociekał, rozważał, analizował... Postrzegając to w taki sposób, że kilkanaście lat przeznaczonych na abstrakcyjne studia nad sprawa-



wami wiary, rozumianej nieco inaczej, niż w katolicyzmie można uważać za stracone. Ale – niezależnie od zapatrywań – należy dostrzegać pasję, której poświęcił życie szewc z Zawidowa i Zgorzelca. Dostrzegł ją m.in. Nicolas Cage, amerykański aktor i fan J. Boehme, który pojawił się w Zgorzelcu w 2006 roku, chcąc odnaleźć miejsca, w których związane ze swoim idolem. Może warto, by tę jego sylwetkę i działalność dostrzegali też miejscowi?

W Zawidowie Jakub Boehme jest patronem miejskiego parku. Nie ma wprawdzie tabliczki z jego nazwiskiem przy żadnej z ulic, ale imię wielkiego reformatora religii Górnych Łużyc nosi jedno z bardziej efektownych miejsc tego miasteczka.

Marzenia (p)o kolei

Od co najmniej 10 lat w sprawach kolejnictwa na Pogórzu Izerskim toczą się ciężkie boje, trudno zliczyć ilość konferencji, sympozjów i spotkań, organizowanych we Wleniu, Lwówku Śląskim, czy Złotorzy. (ta ostatnia miejscowość leży wprawdzie na Pogórzu Kaczawskim, ale jej kolejowe interesy były i są integralnie połączone z Koleją Doliny Bobru.

Reaktywacja linii kolejowej Jelenia Góra – Wleń – Lwówek Śląski i dalej do Złotorzy została kilka lat temu naznaczona skandalem, polegającym na tym, że ktoś obiecał producentom kolejnego filmu z serii o agencji 007 zgodę na wyburzenie zabytkowego mostu nad zatoką Zalewu Pilchowickiego. Pisaliśmy o tym kilkakrotnie, sprawa oparła się o prokuraturę, bo w inicjatywie oddania mostu do wyburzenia trudno się było dopatrzeć jakichkolwiek korzyści. Wedle opinii inicjatorów całej sprawy scena wyburzenia mostu miała być promocją krajobrazów Polski do produkcji filmowej prowadzonej przez znamienitych producentów zagranicznych. Dlatego polska strona miała... DOPEŁNIĆ kilka mln zł do tego, by walczyć się most mógł być ozdobą kilkudziesięciu sekund filmu dziejącego się w... Szwajcarii. Ciekawi jesteśmy zakończenia tej sprawy, bo o niej przycichło. Ale to osobny wątek.

Przedstawiciele Dolnośląskiego Urzędu Marszałkowskiego wielokrotnie stawali się na takich spotkaniach, niekiedy deklarowali aktywność w rozwiązaniu problemów kolejowych, ale niewiele konkretnego z tego wynika.

Sprawa rozwoju kolei na Pogórzu Izerskim nabiera rumieńców, po części dzięki inicjatywom samorządów, zintegrowanym z możliwościami władz Dolnego Śląska. Tak właśnie powstała (została reaktywowana) linia Gryfów Śląski – Mirsk – Świeradów-Zdrój, na którą położono krzyżyk do tego stopnia, że w budynku końcowej stacji działał od kilku lat świeradowski ośrodek kultury (Stacja Kultury), zaplecze stacji w Mirsku było skrajnie zdewastowane, a gryfowska stacja wymagała naprawdę głębokiego remontu. Wszystko udało się zrobić i dziś w Świeradowie-Zdroju współzyskuje i stacja PKP i „Stacja Kultury”, odświeżono stację w Mirsku, wyremontowano w Gryfowie, a przejazd kolejną na tej trasie stał się samą w sobie atrakcją dla wielu turystów.

Poza Pogórzem Izerskim w okolicy podobną reinkarnację przeszła trasa Jelenia Góra – Karpacz.

Na trasie Kolei Doliny Bobru atrakcji może być jeszcze więcej, choćby przez trzy tunele, z których najdłuższy, pod Górą Zamkową ma ponad 320 m długości. Nieco krótszy – 187 m – znajduje



Torowisko na trasie ze Lwówka do Jerzmanic-Zdroju jest już oczyszczone z drzew

się pod górą Czyżyk, w rejonie stacji Pilchowice Zapora. Oba są wiekowe – liczą po ponad 110 lat. Ta linia pewnie będzie musiała poczekać na swoją kolej, ale wokół spraw kolejowych we Lwówku Śląskim zaczyna się dziać sporo.

Ale koła historii kolejowej znowu zaczynają się toczyć, wprawdzie nie ze Lwówka do Jeleniej Góry, ale w okolicach Złotorzy na Pogórzu Kaczawskim. Rozpoczynają się też poważne rozmowy dotyczące uruchomienia przejazdów kolejowych między Nowogrodzkiem i Lubaniem, co jest tzw. pierwszą jaskółką odtworzenia magistrali kolejowej Szczecin – Gorzów – Zielona Góra – Jelenia Góra. Jeśli zgodnie z in-

Jedno z utrudnień, jakie napotkają inwestorzy w realizacji budowy są... nietoperze! Teraz rozpatrywana jest ta sprawa na zupełnie innym odcinku, który rewitalizowany jest równoległe, to znaczy w tunelu w rejonie przełęczy kowarskiej na trasie Kamienna Góra – Kowary – Jelenia Góra. Nietoperze uznały tunele za świetne miejsce zimowego przetrwania i trudno się dziwić, skoro tak długo nikt tędy nie jeździł, a nawet nie chodził. Teraz kolejarze czekają na wytyczne przyrodników w tej sprawie.

Pierwszy pociąg wjechał do Lwówka 15 października 1885 r., dekadę później przedłużono trasę do Nowej Wsi Grodzkiej, potem w kierunku Złotorzy, i – co naturalne – Legnicy. W pierwszych latach XX w. (1904 r.) powstał odcinek do Zebrzydowej, po kolejnych pięciu latach – do Jeleniej Góry, co oznaczało, że pociągi do i ze Lwówka Śląskiego rozjeżdżały się na wszystkie strony świata. Od połowy lat 80. widoczny był proces odwrotny, zlikwidowano przejazdy do Gryfowa (1983), do Nowej Wsi Grodzkiej (1991), i przejazdy pasażerskie do Zebrzydowej (1996). W 2014 roku definitywnie zamknięto kursowanie pociągów do Jeleniej Góry, odbywały się co najwyżej przejazdy specjalne, czasami przy pomocy czeskich (!) wagonów, tzw. motoraków.

Informacje „z ostatniej chwili” przekonują, że jednak w sprawie coś się naprawdę ruszy. Ogłoszono właśnie przetargi na rewitalizację odcinka linii – Lwówek Śląski – Jerzmanice-Zdrój. To oznacza, że Dolnośląska Służba Dróg i Kolei tę sprawę traktuje serio. Roboty przy oczyszczaniu torowiska z przypadkowych zadrzewień na tym odcinku już dobiegły końca. Dla samego Lwówka sprawa zapowiada rewolucję, bo to miasto właściwie nie ma stacji dla pociągów pasażerskich. Odbudowa dwóch linii (do Jermanic i Marciszowa) spowoduje, że zmieni się też krajobraz tej części miasta.

tencjami władz Nowogrodzka zostanie zmodernizowana linia Zebrzydowa – Lwówek Śląski, to koncepcja zostanie w pewnym stopniu domknięta.

Czy to szansa, czy zagrożenie dla Kolei Doliny Bobru? Trudno jednoznacznie stwierdzić. Z pewnością modernizacja torowisk i trakcji w rejonie Nowogrodzka, czy Zebrzydowej oznacza, że tamtędy pojadą pociągi towarowe, trafiające też do Lubania. Linia Kolei Doliny Bobru stanie się na tyle peryferyjna, że może służyć turystom i przejazdom okazjonalnym, ale jej rentowność będzie zdecydowanie odbiegać od oczekiwań PKP.

Tymczasem wygląda więc na to, że zdjęcie instalacji rurowej, blokującej wejście na most nad Zalewem Pilchowickim ma wymiar symbolu. Most uniknął śmierci, gwałtownej i efektownej, ale trwa w stanie przedagonalnym. Czy i kiedy ktoś zdejmie te zapory, by zaczęły tędy jeździć pociągi?

WIEŻE WIDOKOWE

Ogromną uwagę turystów przyciąga wieża widokowa Sky Walk – Ścieżka w Chmurach. Ta ścieżka ma długość ok. 800 m, zakończona jest tarasem widokowym na wysokości ponad 56 m. Konstrukcja, która zwraca powszechną uwagę.

Nie tak hałaśliwie reklamowana jest wieża na Czerniawskiej Kopie. Sama budowla ma raptem 15 m wysokości, a stoi też nie niezbyt wysokim wzniesieniu, bo na wysokości 776 m n.p.m. Z dwóch tarasów widokowych rozległe panoramy może oglądać jednocześnie ok. 20 osób. Oddano ją do użytku w 2019 r. Przy dobrej pogodzie widać stąd nawet chłodnie kominowe Elektrowni TURÓW, chociaż akurat nie jest to widok „pierwszej potrzeby” i nie po to wspinają się na wieżę zainteresowani, raczej pociągają ich widoki bliższego Stogu Izerskiego i Smrka, już po czeskiej stronie.



Sky Walk

W Izerach są jeszcze inne tego typu obiekty, po polskiej (m.in. Wysoki Kamień) i czeskiej stronie, ale ostatnio najgłośniejsze jest o budowlę, której ... jeszcze nie ma, a mianowicie o planach budowy wieży widokowej nad Zakrętem Śmierci. Tymczasem istnieje tu platforma widokowa, powstała już w XXI w. Projekt kolejnego po Sky Walk kolosa został odrzucony przez Regionalną Dyрекcję Lasów Państwowych, ale sam pomysł wciąż krąży między instytucjami, które mają formalne prawo, by tę sprawę opiniować. Zdecydowanie protestują aktywiści ochrony przyrody, uważając, iż dość takich kolosów. Podkreślają, że wpływ takich obiektów na dewastację naturalnego środowiska trudno jest oszacować, ale zainteresowany inwestor – spółka FTI Park – nie ustaje w wysiłkach, by przekonać niektóre instytucje. Te warunkują swoją przychylność, gdyby budowla miała społeczne wsparcie. Społeczna opinia – jak można się spodziewać – jest w tej sprawie bardzo mocno podzielona. Rada Miasta

Szklarska Poręba jednogłośnie odrzuciła projekt budowy wieży.

Zakręt Śmierci podzielony jest administracyjnie na dwie gminy – właśnie Szklarską Porębę i Starą Kamienicę. Zapytaliśmy w tej drugiej o opinię na temat budowy.

– Sprawa budowy tej wieży nie jest przedsięwzięciem istotnym dla interesów gminy – powiedział nam wójt. – Nie chcę przez to powiedzieć, że nie ma dla nas żadnego znaczenia, a tylko tyle, że nasza gmina – jeśli postrzeżać sprawę turystyki, jako udział w dochodach budżetowych – żyje z innego rodzaju turystyki, bardziej kameralnego. Mamy tylko jeden większy hotel, poza tym kilkadziesiąt niedużych gospodarstw agroturystycznych, bardzo rozmaitych i chętnie odwiedzanych. Stanowimy alternatywę dla miejscowości stricte turystycznych. Nasza gospodarka oparta jest o inne działania,

sane w krajobraz rozwiązania (jak na Wysokim Kamieniu) mają dużo sensu w całości wizerunku gminy. Dlatego ze sporą dawką ostrożności przyglądamy się ofertom, określanym jako rewelacyjne w rodzaju zabudowy terenów kopalni „Stanisław”, których ok. 30% powierzchni też leży w naszej gminie. Jawią się pomysły turystycznego wykorzystania tego miejsca, oczywiście m.in. na budowę hotelu, czy tp. obiektu. Z naszego punktu widzenia „nowe” w kopalni powinno się pojawić, ale może jako rodzaj geoparku, co zwiększyłoby atrakcyjność miejsca, wpisując się harmonijnie w istniejącą rzeczywistość starej kopalni. Problem inwestycji w turystyce to z jednej strony sprawa szacunku do przyrody, a z drugiej twarde rachunek ekonomiczny. Nowe budowy przynoszą oczywiście dochody podatkowe liczone w milionach złotych, ale też generują koszty dla gmin liczone w dziesiątkach milionów złotych. Warto to wszystko rzetelnie oszacować, dodać do tego koszty wynikające z ingerencji w przyrodę, które nie da się przeliczyć na złotówki i jakiś rachunek na końcu przynosi przesłanki do decyzji ostatecznej.

Zapytani przez nas turyści byli zdecydowanie przeciwni samej idei. – Taka wieża to po prostu interes dla inwestorów, ściśle i wyłącznie finansowy. Z Zakrętu Śmierci i bez wieży można oglądać fantastyczne panoramy. Wejście na Sky Walk w Świeradowie-Zdroju to prawie 100 zł dla osoby dorosłej (dokładnie – 99 zł) i 80 zł dla dzieci. Czteroposobowa rodzina zostawia prawie 400 zł, więc trudno się dziwić, że zainteresowani takimi budowlami mają się wszelkich możliwości, żeby przeforsować swoje pomysły. Śmieci, ścieki, spaliny, to już nie są ich koszty. Sieć wież widokowych na terenie Sudetów liczy już kilkadziesiąt punktów i dość. A przecież czasami warto wrócić do sprawdzonych rozwiązań i po prostu zagospodarować wcześniejsze, dziś nierzadko zarosnięte miejsca widokowe „Złote Widoki” w Karkonoszach. Było ich kilkadziesiąt i służyły tradycyjnej turystyce pieszej. Dziś wieża często jest atrakcją samą w sobie, tym chętniej jest odwiedzana, im bliżej niej są parkingi z wolnymi miejscami. To po prostu żałosne.

Renesans idei wież widokowych jest – nomen omen – widoczny. Turyści na Rynku w Jeleniej Górze często pytają, czy można wejść na wieżę Ratusza, a także – dlaczego nie można wejść na wieżę Bramy Wojanowskiej (w obu tych przypadkach jest to wynik decyzji Straży Pożarnej, której funkcjonariusze w trakcie kontroli orzekli, że drewniane konstrukcje obu wież nie pozwalają na organizację gromadnych wejść). Ale w mieście istnieją trzy wieże widokowe – Bramy Zamkowej, Krzywoustego oraz na Sołtysiej Górze, bliżej Cieplic. Każdy kto zechce – może się wdrapać choćby na szczyt jednej z nich

Rewolucja w Ratuszu

Kiedy używamy określenia „rewolucja” w kontekście budynku władzy, to z reguły chodzi o awantury kadrowe, czasami strukturalne. W przypadku ostatniego ożywienia dyskusji nt. „komu ma służyć lwówecki ratusz?” przesłanki są inne. Inicjatorem pomysłu zmian chodzi o to, by rewolucyjnie zmienić przeznaczenie pomieszczeń tego wyjątkowo cennego budynku



i pozostawić tam tylko dwie instytucje – odmienne i wzbogacone muzeum oraz bibliotekę. Resztę należy – ich zdaniem – „gdzies” wyrzucić.

Eksmisja dotyczyłaby więc restauracji w parterze obiektu i Urzędu Stanu Cywilnego z pozostawieniem niezwykłej, budzącej podziw u wszystkich sali Ślubów na piętrze budynku. Zniknęłyby też inne elementy administracji samorządu. To trochę kontrowersyjne rozwiązanie, bo oznacza pewne perturbacje w funkcjonowaniu tego „urzędu w urzędzie”, ale wszystko jest teoretycznie możliwe.

Autorami takiej metamorfozy Ratusza są przedstawiciele Stowarzyszenia Monitoringu Zabytków we Lwówku Śląskim, uznający, że tak efektywny budynek powinien być efektywnie i efektywnie wykorzystywany, a teraz zarówno istniejąca tu biblioteka, rozdzielona na dwa piętra, jak też pracująca w kilku pomieszczeniach Placówka Historyczno-Muzealna (będąca formalnie częścią biblioteki, jednym z jej działów) duszą się w ciasnocie. Biblioteka nie może rozwinąć skrzydeł, a Muzeum – nie jest obecnie tym, czym mogłoby być mając więcej pomieszczeń. To znaczący instrument promocji miasta i powiatu, miejscem, gdzie możliwe są badania i analizy historyczne i naukowe, zaczynem nowej marki turystycznej, nie tylko włączając się w organizowane już imprezy, ale wręcz „tworzące nowe marki eventowe”.

Rozległe i wyjątkowo cenne historycznie części budynku, to znaczny Sien Wielka, Sala Mieszkańska i Sala Deputacji powinny być podporządkowane wprawdzie potrzebom Muzeum, ale otwarte dla wszystkich.

Niewykorzystany tymczasem potencjał kryje się w wieży i na strychu, a to ok. 1.000 m kwadr., więc to świetna przestrzeń dla muzealnej galerii sztuki, i innych przedsięwzięć wymagających rozmachu.

To wizja imponująca i odpowiadająca ambicjom. Trudno oszacować, jakich ta wizja wymaga kwot do jej realizacji, bo trzeba znaleźć miejsce dla instytucji, które opuszczą ratusz, pogo-

dzić się z utratą czynszu za istniejącą restaurację, przeliczyć liczbę etatów, niezbędnych do realizacji planów, koszty eksploatacji (w tym ochrony), itp.

Lwówek Śląski to miejscowość mająca niewiele ponad 10 tys. mieszkańców, być może nieco mniej. Posiadanie nowoczesnej biblioteki w zabytkowym wnętrzu z pewnością zwróci uwagę turystów, jednak nie można liczyć na to, że to oni jakieś książki pożyczą, a sami pomysłodawcy zmian zauważają, że w okresie 2020 – 2024 zmniejszyła się zarówno liczba czytelników o przeszło piątą część, jak i liczba wypożyczeń (o przeszło 40%). Czy połączenie biblioteki z Lwóweckim Ośrodkiem

Kultury zaradzi problemom i pozwoli zaoszczędzić pieniądze? – trudno przewidzieć. Podobnie jak to, czy sprawdzi się koncepcja włączenia punktu „it” w struktury tworzonego muzeum. W żadnym znanym nam przypadku taka fuzja nie jest realizowana, pewnie nie bez przyczyny.

Faktem jest, że przepiękny budynek Ratusza z jego przebogatym wnętrzem mógłby być wykorzystywany bardziej efektywnie. Pozostaje wątpliwość czy uruchomienie DRUGIEJ placówki muzealnej w tak niewielkim mieście spowoduje ożywienie ruchu turystycznego. We Lwówku przecież istnieje od piętnastu lat Muzeum Browarnictwa Dolnośląskiego i połączenie tych instytucji nie jest możliwe, choćby ze względów finansowo-organizacyjnych, ale i dlatego, że organem założycielskim tej placówki jest samorząd dolnośląski.

Tak czy inaczej – dyskusja na temat sposobu wykorzystania Ratusza we Lwówku Śląskim, zainicjowana kilkadziesiąt lat temu powróciła i wiele wskazuje na to, że będą ścierać się rozmaite argumenty, aż w końcu sprawę na tym etapie sfinalizuje księgowy, który jednoznacznie oceni, czy mieszkańcom na to stać. Wszystkie bowiem rewolucje są zawsze kosztowne i wymagają ofiar.

Lwówecki Ratusz w swojej historii przeżywał rozmaite wojny, więc kolejna nie jest jakimś nadzwyczajnym wydarzeniem. Najślawniejszą w dziejach była „wojna babska” z roku 1631 (zbliża się okrągła jej rocznica). Wtedy kobiety wyznania protestanckiego zbuntowały się przeciwko próbom rekatolizacji, bo nie chciały dać się podporządkować księżom katolickim. Agresywne panie wdarły się do Ratusza, przepłoszyły urzędników i wybroniły status quo. Obraz ilustrujący epizod tej „wojny” można oglądać właśnie w Ratuszu, a przy okazji zdobyć się na refleksje o potrzebach i skutkach rozmaitych wojen.

Są dwa sposoby...

...a może i więcej, na obniżenie kosztów ogrzewania, gdy decydujemy się na opcję elektryczną. Na tym zdjęciu udało się w jednym kadrze zmieścić obie. W Olszynie – bo fotografia pochodzi z tego miasta – tuż obok siebie stoją stary dom szachulcowy, który właśnie ze względu na szachulec „trzyma ciepło” zimą, a nie jest rozpalonym w słońcu piekarnikiem w trakcie upalnego lata. Drugą opcją, w miarę zgodną z duchem ekologii są panele fotowoltaiczne, bo dzięki nim pozyskujemy ze słońca sporo energii bez efektu cieplarnianego, ale i także bez nadmiernej ingerencji w krajobraz. Coś można wybrać...



Ciasto krzepi

– Zaczęliśmy działalność firmy w maju 2020 roku, po miesiącach szczegółowych przygotowań – wspomina Olga Kazubek-Zamiar – a dwa tygodnie później pandemia została uznana za na tyle groźną, że przepisy bezwzględnie nakazywały zamknięcie wszelkiej działalności usługowej tego typu... I plany trzeba było zawiesić na okres „niewidomajaki”. A mieliśmy już pierwsze duże zamówienia z renomowanego hotelu, zamierzenia, pomysły na rozwój.

Ta firma, o której wspomina nasza rozmówczyni, to – ówczesnie „Pracownia Cukiernicza Miod i Mąka”, w której miały powstawać rozmaite ciasta, przede wszystkim torty. Epi-



demia COVID 19 unicestwiła bardzo wiele podobnych inicjatyw, ale ta przetrwała „próbę ognia”.

Rzeczywistość była wtedy naprawdę okropna – przypominamy tym, którzy już nie pamiętają. To był czas, kiedy policjanci ścigali rowerzystów jeżdżących lasem w maseczce na tworzy za łamanie przepisów o epidemii COVID-19. Dziś wielu naigrywa się z tamtych obostrzeń, ale wówczas umierali ludzie i nie zawsze wiedzieli o czemu jednych epidemia się nie ima, a drudzy nie mają szans przeżyć. – Nam chodziło o to, żeby firma przeżyła, zainwestowaliśmy w nią sporo oszczędności, szczęśliwie nie braliśmy kredytów (zawsze ich unikamy), pomoc finansową uzyskaliśmy z Partnerstwa Izerskiego na rozpoczęcie działalności. Tyle, że z tym rozpoczęciem nie wyszło, bo lato i jesień też były obciążone rygorami, Sylwester, na który trochę liczyliśmy też był okresem zamknięcia dla hoteli. Po-

tem powoli to wszystko się uwalniało, jeszcze gdzieś obowiązywały dziwaczne z dzisiejszego punktu widzenia zasady, że „jeden kelner obsługuje jeden stół”, żeby nie kusić losu, ale widać już było perspektywę rozpoczęcia pracy po epidemicznym falstarcie.

Dla cukierni „Miod i Mąka” zaczęło się drugie życie. Ono też nie przebiegało całkiem prosto, ale to już z innych powodów, które dały się jakoś „ogarnąć”.

– Wymyśliłam tę działalność – mówi Olga Kazubek-Zamiar – niekoniecznie upatrując w niej wybitny sukces materialny. To oczywiście jest ważne, żeby zarabiać i utrzymywać się z własnej pracy, ale dla mnie istotniejsze było to, że jako wrocławianka, która wcześniej pracowała w dużych firmach wielkiego miasta, po przyjeździe do Gierczyna znalazłam się w innej rzeczywistości. Musiałam odzyskać, a właściwie stworzyć miejsce dla siebie. Nie jestem cukiernikiem z zawodu, ale po studiach związanych z produkcją spożywczą ten fach nie jest dla mnie egzotyczny. Osobiście, co w tym wypadku ważne, lubię przygotowywać torty i ciasta, więc to się wszystko sprzęgało. I jest jeszcze jedna sprawa, istotna, choć nieoczywista. Gierczyn się zmienia, dawniej było jedno gospodarstwo „agro”, teraz jest co najmniej pięć, liczba przyjezdnych do Świeradowa-Zdroju rośnie w postępie geometrycznym. Ci wszyscy ludzie coś chcą zobaczyć, czegoś lokalnego spróbować. Wcześniej czy później trafiają do nas. Chcemy być elementem wartościowej promocji Gierczyna, tak jak każde „agro”, wypożyczalnie sprzętu, czy podobne działalności. Efekt synergii nas wszystkich może się okazać nieoczekiwany. Daję sobie radę z utrzyma-



niem firmy, bo mamy z jednej strony niewielkie koszty stałe (relatywnie niewielkie, jako że pracuję w obiektach, które są naszą własnością), do tej pory nie zatrudniałam nikogo (to się zapewne w styczniu zmieni). Nie za szybko, ale systematycznie rośnie liczba hoteli i pensjonatów, z którymi współpracujemy, bo utrwała się dobra opinia o naszych tortach i ciastach. W sezonie ślubnym, a on trwa od późnej wiosny do końca października nie mam wolnego weekendu, ale tempo i zakres pracy hartuje.

Od pewnego czasu zapraszamy po zakup ciast „na wynos” w każdą sobo-



tę. Od stycznia 2026 najpewniej otworzymy tuż obok niedużą kawiarenkę.

– W Gierczynie??!

– Właśnie tutaj! Będzie pracować tylko w weekendy, od piątku, ale zakładam, że to dobre uzupełnienie oferty „wyjazdowej”, to znaczy weselnej „Miodu i Mąki”. Rzeczywiście, ta decyzja wywołuje zdziwienie u niektórych ludzi. A na uwagę, że „przecież tu jest koniec świata” odpowiadam, że od naszej firmy jeszcze jest kawałek drogi w tamtą stronę, pod górę, więc pewnie to nie jest sam koniec. A na serio – kawiarenka nie jest wyrazem pogoni za dochodami, a formą popularyzacji naszej działalności wśród tych (piechurów, rowerzystów, zmotoryzowanych), którzy nie myślą o tym, by kupić tort, ale mają ochotę na słodki drobiazg, zanim pójdą czy pojedą dalej.

Głównym zakresem działalności są weselne torty i „słodkie stoły”, z których „Miod i Mąka” znany jest nie tylko w najbliższych miejscowościach. Dobra sława się rozchodzi między ludźmi, bez szczególnych form promocji. Niespiesznie, ale rok do roku rośnie i liczba odbiorców i dochody, co pozwala myśleć o nowych przedsięwzięciach.



Przy czym „nowe”, to nie tylko wspomniana kawiarenka, ale wcześniejsze „słodkie soboty”, kiedy oferowane są ciasta zainteresowanym amatorom słodczy. I cały czas praca nad nowymi recepturami.

– Cukiernictwo tak pojmowane musi nadążać za modami, bo w tej branży one istnieją i są ważne – wyjaśnia nam właścicielka. – Pożądane są inne kolory, widoczne inne trendy. Dla przykładu – swego czasu wielce popularne było okładanie tortów



masą cukrową, teraz odstępuje się od tego, biszkopt „wygląda” trochę na zewnątrz. Zaczyna być modna natura, coraz szerzej oczekiwany jest styl, który można określać jako rustykalny. A w moim przypadku staram się dopracować każdy szczegół, to znaczy tak przygotować tort weselny, żeby jego wygląd i kolory komponowały się z kwiatami na sali, kolorami obrusów i dodatków. To wszystko musi być spójne. I jest. Mam

ogromnie wiele satysfakcji, jak pary młode po uroczystości nadsyłają do mnie zdjęcia ze scenki krojenia tortu, dołączają listy, z których wynika, że zniknął do ostatniego okruszka.

Widać też różnicę w organizacji ślubów. O ile jeszcze kilka lat temu przyjęcia weselne były duże i sporo z nich przekraczało liczbę setki gości, to teraz są to kameralne uroczystości, góra na 40 – 60 osób, albo i mniejsze. To wymaga przygotowania mniejszych tortów, ale precyzji zdobień, stosowania nowych, oryginalnych receptur. Przygotowaliśmy już ofertę na sezon ślubny 2026, wiosną zaprosimy pary zamierzające wziąć ślub na rodzaj degustacji słodczy, chcemy by obejrzeni, sami zastanowili się nad wyborem Oferta świąteczna na Boże Narodzenie 2025 już od dawna jest gotowa. Tort makowy z pomarańczą, sernik chałwowy, miodownik kresowy, piernik staropolski dojrzewający, sernik ciasteczkowy korzenny... to tylko niektóre z propozycji.

– A zdobienia?

– Nasi goście albo dają ogólne wskazówki, jak to wszystko widzą, a ja uściłam w rozmowie swoją propozycję, albo też są niezwykle drobiazgowi. Pamiętam przypadek, kiedy otrzymany od zamawiającej opis tortu weselnego zajął... dwie pełne strony maszynopisu. Takie zlecenie oznacza – poza wszystkim i wbrew pozorom – sporą dozę zaufania do naszej pracy. A skoro nasi goście przykładają taką wagę do wyglądu oferowanych słodczy, to znaczy, że to sprawa dla nich wielce istotna. Dla nas także. W naszej ofercie mamy mnóstwo przykładów zdobień, a jeśli trzeba coś ekstra, to wychodzimy naprzeciw oczekiwaniom.

Rynek w Zawidowie zyskał nowy wygląd

W minionych kilkunastu latach rynki miast Pogórza Izerskiego zmieniły się nie do poznania. Głębokiej i długotrwałej rewitalizacji poddano został rynek Lubomierza, przechodził mnóstwo prac remontowych i modernizacyjnych rynek Mińska, takiej samej operacji poddano rynek Wlenia. Wcześniej wyremontowano rynek Lwówka Śląskiego, którego zabudowę zdewastowała w latach 60. tych XX w. błędna koncepcja postawienia nowych, betonowych bloków wzdłuż niemal wszystkich pierzei. I skutek jest marny. Lwówek ma wprawdzie jeden z najpiękniejszych ratuszy, świetnie zachowany zabytkowy obiekt, ale stoi on w centrum kręgu z betonowych klocków. Zmienił się nie tak dawno rynek Nowogrodzka. Tu widać skalę zniszczeń wojennych jedna z pierzei rynku została zabudowana współcześnie, ale inne są zachowane. Ostatnim akordem tych zmian jest metamorfoza rynku w Zawidowie, zakończona ostatnio. Rzeczywiście, jak widać na zdjęciu z lotu ptaka zachowana została atmosfera zabudowy, ale zdecydowanej odmianie uległa nawierzchnia. Teraz kolej na zajęcie się kamieniczkami wokół rynku, a właściwie – rynków. Ze względu na zmiany własnościowe w gospodarce komunalnej mieszkania stanowią w większości mienie prywatne i z tego względu zarządy wspólnot nie mogą przyspieszyć administracyjnie robót remontowych domów mieszkalnych. Ale istnieją sposoby wsparcia takich przedsięwzięć z udziałem środków UE, więc może niebawem zaczną się zmieniać domy przy wspomnianych rynkach.



Szanse i perspektywy agroturystyki

KLIMATYCZNA WIETORÓWKA



Wnętrze takiego domu, jak Wietorówka mogą uwieść osobę najbardziej nieczułą. Surowe ściany z nieotynkowanych cegieł, stonowane, naturalne światło, przedmioty, które budują nastrój domu, w którym chce się być. Czy takie miejsca jak „Wietorówka” można jeszcze wpisać do agroturystyki, czy to już zupełnie inna jakość? Niezależnie od odpowiedzi na tę wątpliwość „Wietorówka” z bardzo wielu powodów jest świetnym miejscem do rozmowy o najszerzej pojmowanej turystyce, mającej swoją siedzibę w obszarach wiejskich. A przecież jeszcze kilka lat temu było to zwyczajne gospodarstwo w niezbyt gęstej zabudowie Miłęcic.

Właściciele, Marta i Przemysław, małżeństwo grafików z wielkiego miasta odwiedzało Pogórze Izerskie od kilkunastu lat. – Pamięamy pierwszy raz, przyjechaliśmy 500 km, a miejscem, w którym wysiedliśmy z samochodu był Lubomierz. Musieliśmy po prostu zrobić zakupy i już „pierwszy raz” w tym miasteczku zrobił wrażenie. Potem wracaliśmy w te strony co najmniej raz w roku na dwa tygodnie. To wciągało, jak wir. Po prostu – „trafiło nas”. I kiedy dojrzała decyzja, że warto znaleźć swoje miejsce do życia, to wybór Pogórze był oczywisty.

– Nie mieliśmy wątpliwości – ten dom był „nasz” od początku, zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że remont będzie trwał latami. Nawet dziś, kiedy mieszkamy tu, przyjmujemy gości, to mamy pełną świadomość, że może za jakieś piętnaście lat powiemy, że remont można uznać za zakończony...

– Czy łatwo jest przyjmować gości, w domu, który jest tak bardzo „wasz”?

– Z jednej strony niełatwo być gospodarzem i dzielić się własnym domem. Z drugiej jednak to goście tworzą dobrą aurę „Wietorówki” i bez nich nie byłaby taka, jaka jest. Jest i trzeci aspekt – przyjeżdżają tu goście, którzy cenią te wartości, które i my uznajemy za najważniejsze. I może dlatego to wszystko się domyka.

– Czasami zdarzają się zabawne sytuacje, kiedyś przyjechał ktoś, dla

Jak można kusić nazwą: *Ziemia Obiecana, Lawendowa Stajnia, Czarna Wieża, Lawendowy Raj, Dom w Murach, Dom Cukiernika, Zbójna Debra, Agromurena, Róże i Jabłonie, Apartament Wolności, Domek DOMiarki, Nad Poziomem, Turkusowa Wyspa, Pod Miotelką, Bobrowe Zacisze, Dom o Niebieskich Okiennicach, Miętowe Wzgórze, Chata Zimoroska. Pod Izerskim Niebem – Dom z Balią, Dom Piwowara, Dom po Schodkach, Zielono Mi, Brzozami Malowane, Lunatykowa Chata, Wydrza Przysań, Dobre Historie, Sękowy Domek, Lazurowa Prowansja, Wiedźmowa Chata, Nasze Chabazie, Agro pod Niebieskim Dachem, Rajske Jabłko, Cudne Manowce, Pokój i Spokój, Na Końcu Dróżki* – to tylko niektóre nazwy izerskich gospodarstw Agro.

lubomierskiego klasztoru – co było dla nas bardzo fajne.

– Są tacy, którzy „Wietorówkę” traktują jako bazę wypadową w góry, do Doliny Bobru, na pogórze Izerskie, do Lubomierza i innych miast w okolicy, a są tacy, którzy wyjeżdżają na cało-

naszego domu, w Lubomierzu urodził się Hieronim Wietor – jeden z najsłynniejszych drukarzy renesansu – wybór nazwy był oczywisty. Jego księgi są pięknie zdobione grafikami, to on wydrukował pierwszą historię Polski tzw. Kronikę Miechowiwy. Był tak dobry w swoim fachu, że król Zygmunt Stary mianował go Drukarzem Kancelarii Królewskiej. Mieliśmy marzenie, aby w Lubomierzu po 500 latach Wietora znowu się pojawił. Zaprojektowaliśmy i wykonaliśmy szyldy w których użyliśmy czcionki wzorowane na tych stosowanych przez Wietora przed wiekami i dzięki przychylności mieszkańców i władz miasta udało się. Ażeby osoby nie wtajemniczone w historię Wietora mogły zorientować się skąd takie dziwne litery – to w miejscach gdzie one się pojawiają są także tabliczki z kodem QR łatwym do zeskanowania, który przekierowuje do informacji.

– Agroturystyka, z takim domem, jak nasz nie jest biznesem, dającym



kogo ważny jest telewizor, a tu go nie ma. Zaprośmy gościa do stodoły, otworzyliśmy wrota i powiedzieliśmy: to jest nasz telewizor, jest bardzo ładny krajobraz, czasami przejdzie krowa, przeleci ptak, a czasami nic się nie dzieje...

– Nie mamy sauny ani jacuzzi, wyposażenie domu i dbałość o szczegóły to efekt naszych doświadczeń, bo często podróżowaliśmy i zawsze przywiązywaliśmy dużą wagę do tego, jakie jest miejsce, w którym się zatrzymaliśmy. Nasz dom jest w jakimś sensie wynikiem tych podróży.

– Nie stawiamy drogowskich, jak dotrzeć do „Wietorówki”, kto naprawę chce, ten nas znajdzie bez problemów.

– Na stronie internetowej szczerze i wyczerpująco opisaliśmy nasz dom. Że jest stary i miejscami skrzypi. Że ma swoje humory i fochy. Że są pokoje dla psiarzy, dla gości podróżujących bez zwierzątko, dużo przestrzeni w domu i w ogrodzie.

– Czasami podpowiadamy gościom co można zwiedzić w okolicy, ale za zwyczaj sami organizują swoje wyprawy. Bywa, że pojawia się w grupce nieznanym sobie osobom, naturalny „kaoweiec”. Któregoś dnia wracaliśmy z zakupów i zobaczyliśmy, jak jedna z pań energicznie organizuje gości i wspólnie wybierają się na zwiedzanie



dziennie wycieczki do Pragi, czy Dreżna. W tym rozumieniu Miłęcice są świetnym miejscem, bo stąd wszędzie jest blisko.

– Bywa, że słyszymy miłe rzeczy. Tak było, kiedy trafili do nas goście z Australii, którzy przez trzy miesiące zwiedzali Europę. Do nas przyjechali z Finlandii, kiedy wyjeżdżali, powiedzieli nam, że z całej ich podróży to Pogórze Izerskie najbardziej zapadło im w pamięć, a Wietorówka były najpiękniejszym miejscem w którym się zatrzymali – przyjęliśmy ten komplement z wielką radością.

– Dlaczego akurat „Wietorówka”? Oboje jesteśmy grafikami, a kiedy dowiedzieliśmy się, że 500 metrów od

niesamowite dochody, ale to jest nasz sposób na życie. Środki są nam potrzebne na kontynuowanie remontu, ale nie jest najważniejsze, byśmy zakończyli prace szybko. Jeździmy „nastoletnim” samochodem, który absolutnie wystarcza do załatwiania zakupów, ostatnio nawet woziliśmy nim drewno, to bardziej „skrzynka na narzędzia”, mała ale znakomita. Nasi goście mają zdecydowanie lepsze auta, których im nie zazdrościmy. Nie widzimy potrzeby komercjalizowania naszej pracy do granicy wydolności. Mamy dom, który daje nam wystarczającą satysfakcję i umożliwia skromne życie w tempie i w sposobie, jaki uważamy za najlepszy.

Agrorazem

Nie ma tymczasem takiego pojęcia, jak widoczne w tytule. A może powinno być. Współpraca agroturystyk, czy też sieci pensjonatów na wsiach, połączona z atrakcyjną formą informacji o sobie nawzajem, o turystycznej bazie, w formie prostej, czytelnej, a przez to – realnie pomocnej, pozwoli na osiągnięcie efektu synergii, współpracy dla wszystkich korzystnej. Tym bardziej, że domy na wsiach przyjmujące turystów nie rywalizują ze sobą – najczęściej są na tyle różne od siebie, że gość wybiera specyfikę najbardziej odpowiadającą potrzebom, a nie przebiera jak ofercie sieciowych hoteli, które oferują tę samą, ujednoliconą gamę usług.

Jak to mogłoby wyglądać? Na przykład tak: Turysta, który znalazł nocleg pod Wleniem i rutynowo pyta, co mógłby zobaczyć w najbliższej okolicy otrzymuje mapkę z propozycją całonocnej wycieczki samochodowej. Z punktami, przy których warto się zatrzymać. Wlen – Pałac Książęcy i Pałac Lenno, a przede wszystkim – najstarszy w Polsce zamek kamienny. Stąd do Kleczy – po drodze fani geomorfologii mogą zobaczyć wyrwki (wylewki wygasłego wulkanu z wtopionymi w warkocz wystygłej lawy innymi kamieniami, wyrwanymi z ziemi – stąd nazwa). Potem Zapora Pilchowicka i elektrownia, most kolejowy, cudem ocalały, park w Maciejowcu, Lubomierz ze swoimi zabytkami sakralnymi, kościół św. Maternusa z relikwiami i Muzeum Karguła i Pawłaka. Potem ruiny zamku „wrośniętego” w skałę w Rząsianach, kościół św. Jadwigi w Gryfowie z mauzoleum Schaffgotschów i stropem renesansowym w stylu sgraffito, wyjątkowej urody amboną, ruiny zamku Gryf w Proszówce, tamtejsza kaplica św. Leopolda. Jeśli wystarczy czasu, to wieża Książęca w Siedlecinie, Pławna z Zamkiem Legend Śląskich i Muzeum Przesiedleńców i Wypędzonych

Uproszczona mapka powinna zawierać kilometrów poszczególnych odcinków, orientacyjny czas zwiedzania poszczególnych miejsc, ich lapidarny opis, być może rysunki czy zdjęcia najciekawszych obiektów. Albo druga – „specjalistyczna” szlakiem zamków Pogórze Izerskiego, bo przecież trudno jest się ograniczyć do osławionego, ale przecież nie jedynego zamku Czocho. Zaczynając od Rybnicy i ruin tamtejszego zamku, później Stara Kamienica, Gryf, Świecie, z pewnością pałac w Płakowicach, trudno wówczas nie dojechać do Grodzca, aczkolwiek to już Pogórze Kaczawskie. W drodze powrotnej przez Lwówek zajechana rynek z fantastycznym Ratuszem, zobaczyć baszty bramne Lubańską i Bolesławiecką i fragmenty murów obronnych.

Ktoś dobrze potraktowany szczegółową informacją będzie wracał na Pogórze, do domów, w których ktoś zaopatrzył go tak szczegółowo.

Mamy nadzieję w kolejnym, wakacyjnym wydaniu „Ech Izerskich” wydrukować przynajmniej dwa przykłady takich mapek, uznając, że turystyka w obszarach wiejskich i jej rzeczowa formuła jest naszą wspólną sprawą.



Czy na pewno agroturystyka?

Agroturystyka – rodzaj turystyki wiejskiej, który polega na świadczeniu usług noclegowych i wypoczynkowych w czynnych gospodarstwach rolnych. Oferuje ona turystom możliwość pobytu w wiejskim otoczeniu, często z szansami uczestniczenia w pracach gospodarczych, obserwowania życia zwierząt i poznawania lokalnej kultury. Stanowi dla właścicieli gospodarstwa rolnego alternatywne źródło dochodu. Znana już wcześniej pod określeniem „wczas pod gruszą”. Jednym z celów agroturystyki jest przeciwdziałanie wyludnieniu się wsi i wzrost dochodów m.in. na skutek wytwarzania wyrobów pamiątkarskich (...) – tyle definicja.

Wg GUS na początku XXI w. w Polsce funkcjonowało prawie 5,5 tys. gospodarstw agroturystycznych. Można ekstrapolować, że teraz jest ich wielokrotnie więcej.

W wielu miejscowościach Pogórza Izerskiego zagęszcza się sieć domów wiejskich, które popularnie nazywane są gospodarstwami agroturystycznymi. Zdecydowana większość z nich nie spełnia jednego z warunków, to znaczy nie są to czynne gospodarstwa rolne. Przypisanie im miana gospodarstwa „agro” jest wynikiem pewnego uproszczenia w nazewnictwie. Gdyby chcieć precyzyjnie opisać status takich domów, to należałoby raczej określić jako „pensjonaty wiejskie”.

W niczym to nie umniejsza ich znaczenia dla wzbogacenia wiejskiego krajobrazu – wręcz odwrotnie. Pensjonaty na wsi bywają cudownymi oazami ciszy i spokoju, kapitalnymi miejscami pobytu, nieocenionymi miejscami pozyskiwania informacji o lokalnych atrakcjach, wygodnymi punktami wypadowymi w bliższe i dalsze okolice. W odróżnieniu od lokowanych w mieście podobnych pensjonatów zapewniają komfort oderwania się od hałasów, wi-fi, wszechobecnej telewizji z jej nachalną informacją o wszystkich nieszczęściach świata, itp., itd.

Mieliśmy szansę widzieć na Pogórzu domy, których w mieście nikt nigdy nie uświadczy, m.in. zapewniający obserwację nocnego nieba przez profesjonalne lunety, albo też takie, z okien którego można było podglądać działalność bobrów, pilujących pnie drzew.. W innym rosły kasztanowce jadalne, w kolejnym mieściło się niemal muzeum naczyń i urządzeń z przełomu XIX/XX w. Są i takie, które stanowią oazę dla artystów – plastyków, zdobione są wieloma obrazami współczesnych malarzy, jeden z kolejnych wyposażony jest w komplety mebli śląskich z początku XX w., począwszy od malutkich szafek, przez wielkie kredensy, skończywszy na przepastnych, wygodnych łóżkach.

Co je łączy? Przynajmniej kilka elementów. Wszystkie funkcjonują na wsi, zapewniają komfort ponadstandardowy dla swoich gości, oferują przyjazną aurę zamieszkiwania, spełniają wszelkie normy sanitarne i higieniczne, prowadzone są nie tylko z najwyższą starannością, a goście w nim przebywający czują się jeśli nie jak w rodzinie, to przynajmniej jak w gościnie u dobrych przyjaciół. Tego żaden hotel nie zapewni. I są jeszcze dwa aspekty tej sprawy. Żaden z tych domów nie jest w świetle przytoczonej definicji gospodarstwem

agroturystycznym oraz zdecydowana większość właścicieli takich obiektów pochodzi spoza wsi. W zdecydowanej większości takich domów nie ma zwierząt hodowlanych, bo dla gospodarzy byłby to pewien problem, odciągający ich uwagę od opieki nad gośćmi, zresztą zdecydowana większość gości zwierzętami nie jest specjalnie zainteresowana, a już z pewnością nie planowała uczestniczyć w robótce na drutach, bo o takim współdziałaniu w sielskich zajęciach piszą autorzy definicji.

Jest jeszcze jedno zjawisko, które dziwi przyjezdnych, kupujących stare domy na wsi i wkładających mnóstwo serca (i pieniędzy) w ich rewitalizację – miejscowi niekoniecznie są zainteresowani zakładaniem czy to gospodarstw „agro”, czy pensjonatów wiejskich za bazy swoich gospodarstw. Dziwi ich też, że w obszarze Pogórza Izerskiego szkoły, które prowadziły zajęcia dla młodzieży licealnej (a nawet kierunki takiej nauki), rezygnują z kształcenia techników agroturystyki, bo nie ma chętnych.

Dla miejscowych taka sytuacja jest całkowicie zrozumiała. Ludzie z zewnątrz przyjeżdżają na wieś, bo w taki sposób spełniają swoje marzenia, uciekają z wielkich hałaśliwych miast do małych wsi, by tu spokojnie sobie żyć. Przywożą sporo pieniędzy, inwestują w domy, budują swoją przyszłość.

Ludzie ze wsi mają inne marzenia – uciec z tej ciszy do miasta, gdzie można normalnie na etacie pracować, przyjść do domu wczesnym popołudniem i nie myśleć już do rana o pracy, będąc pewnym, że pracodawca zapłacił już ZUS i podatki i nie trzeba sobie zaprzętać głowy bieżącymi sprawami. Prowadzący kilkusethektarowe (albo i większe) gospodarstwa rolne nie będą nigdy zainteresowani agroturystyką, bo mają inną skalę zawodową na względzie. Właściciele małych gospodarstw, którzy w zasadzie pracują w miastach, a utrzymują stado kur (bo przecież nie geśi, które zniknęły z przeważającej części gospodarstw) nie będą zainteresowani agroturystyką, bo chcą spokojnie żyć po pracy i dojazdach do domów. Wychodzą na to, że ambitna agroturystyka izerska musi liczyć na tych, którzy tu przyjechali z własnym na nią pomysłem, powstałym kilkaset kilometrów stąd.

Przykłady takich inicjatyw – w zdecydowanej większości wartościowe i cenne – można mnożyć.

Wiejski Czarodziejski Teatr Izerski

Wszyscy jesteście Izerianami

Jasna dowiodła, że ma twardego charakter, którym zdołała skłonić własnego ojca do akceptacji jej poglądów, mimo że tatuś był zaprzysięgłym zbrojem i skłonny był do rozwiązywania wszelkich problemów za pomocą silnej ręki. I pałki. Z kolei Mizerian, z którego imienia się wszyscy śmiali, tym bardziej, że ono faktycznie w części ilustrowało wiotką osobowość chłopca i pasowało doń, jak ulał. Ale w wyniku ucieczki z domu i trudnej wędrówki, przy pomocy wiedźmy z bagien zmienił się mocno i zasłużył na zmianę imienia. Został Izerianem, okazał się stanowczym człowiekiem, nieskorym do zwad, ale umiejącym postawić na swoim, a co ważne, bez szkody dla innych. Wszystkie te przygody udało się zamknąć w ponadgodzinnym spektaklu wystawionym po raz pierwszy w ostatni piątek listopada 2025 r. w Izerskiej Galerii Artystycznej w Kromnowie.

Ten spektakl dał początek nowej inicjatywie artystycznej. Tak powstaje Wiejski Czarodziejski Teatr Izerski, stworzony przez ludzi tutejszych, aczkolwiek niektórzy z nich są tu od niedawna. Są wśród nich tacy, którzy przywieźli bagaż zawodowych doświadczeń, służących kreacji, inni do nich dołączyli, uznając, że to dobry pomysł.

Piątkowe przedstawienie było pokazem właściwie przedpremierowym, taką generalną próbą przed kolejnymi dwoma, już dla dorosłych widzów.

– Zdecydowaliśmy tak nie dlatego, że uważamy dziecięcą widownię za mniej wymagającą – powiedziała nam przedstawicielka Teatru. – Wręcz odwrotnie. Zależy nam na szczerej, naturalnej reakcji na nasze przedstawienie, a odbiór tej prezentacji przez dzieci będzie ważny dla doskonalenia

i ewentualnego wprowadzenia jakichś korekt, jeśli wystąpi taka potrzeba. Wiemy, że dzieci są widownią bezwzględną w ocenie i nie będą konwencjonalnie grzeczne.

Scenariusz jest dziełem autorskim, powstał na podstawie inspiracji i interpretacji miejscowych historii i legend Gór Izerskich, ale pobrano z nich raczej aurę, niż treści. Główny wątek – dziewczyny, która nie chce zostać zbrojem, jak całe jej środowisko,



został zaczerpnięty z książki Astrid Lindgren „Ronja, córka zbrojnika”. Wszystko to razem, ozdobione muzycznie i tanecznie stanowi spójną całość, wspartą stosownymi strojami, ascetycznymi, ale konsekwentnymi dekoracjami, itp. – To trochę opowieść o buncie młodej dziewczyny, buncie, który ma sens, ale też o koniecznej wolności, miłości i szacunku, który jednak ma swoje granice, bo nie może zmienić się w dyktat i szansę łamanie charakteru innej osoby.

– Przychodzę z narodu wrózek, które ludziom opowiadają historię – to na początek spektaklu wypowiada jedna z nich, mówiąc zaraz, że „jesteście Izerianami”, przez co należy rozumieć dumę z miejsca, z którego się pochodzi, lub które wybrał się do życia i pracy. Czy to przesłanie dotarło do małych widzów? Pewnie nie po jednym spektaklu, ale samo zauważenie tej potrzeby tożsamości może być ważne.

Tak, jak istnienie Teatru, którego tradycje tutejsze sięgają głęboko w przeszłość. Sto lat temu w Górach Izerskich i Karkonoszach znane były i popularne

tw. teatru natury. To były grupy teatralne amatorów, którzy w oparciu o miejscowe legendy wystawiali spektakle w miejscach stanowiących naturalną scenografię. Niektóre ze spektakli były wystawiane... ponad 600 razy!

Nazizm i ograniczenia cenzury w końcu lat 30 XX w. sprawiły, że ta inicjatywa wygasła. Od kilkudziesięciu lat powraca w rozmaite postaci, być może Wiejski Czarodziejski Teatr Izerski odczaruje i przywróci do życia ten pomysł.



Liczby Mirska

17 – tyle sołectw liczy gmina, łącznie z miastem Mirsk. W większości są to wsie nietypowe, bardzo rozciągnięte, o zróżnicowanej wysokości n.p.m. Niektóre – jak Kotlina – położone są wbrew nazwie bardzo wysoko. 478 m n.p.m. Ale są i takie, których fragmenty „wystają” jeszcze wyżej, dla przykładu – Przecznicza. Ta z kolei ma bardzo rozciągniętą zabudowę i różnica w wysokości względnej sięga od 430 do 600 m n.p.m. Wszystko to sprawia, że teren gminy jest wyjątkowo ciekawy dla pieszej turystyki, a liczne – nader oryginalne – zabytki, w tym np. stare kopal-

nie i sztolnie są nielicznymi w swoim rodzaju ciekawostkami.

1630 – to rok, w którym została założona wieś Wielka Izera. Powstała, stanowiąc finał ucieczki czeskich uciekinierów religijnych, którzy opuścili swoje ojczyste strony w obawie przed kontrreformacją. Wprawdzie nie było ich wielu (w apogeum wsi liczyła raptem ok. 250 osób), zamieszkujących ok. 35 domostw, ale były tu m.in. szkoła, gospody, komora celna i młyn. To jedna z nielicznych wsi, po której zostało niewiele materialnych śladów, ale jednak także trwała legenda, będąca kanwą do kilku książek i zachętą do wędrówek.

721 – tyle metrów nad poziom morza wystaje Kocioł. W tym przypadku nazwa może być bardzo myląca, bo to określenie dotyczy szczytu, jednego ze znajdujących się w Grzbiecie Kamienieckim. Nieodległa wychodnia skalna stanowi świetny punkt widokowy, z którego można obserwować nie tylko Mirsk i zamek Gryf, ale także Stawy Rębiszowskie. Czy tu właśnie stał swego czasu zameczek strzegący spokoju w kotlinie? – tak podobno było...

1 m – to wysokość progu skalnego, znajdującego się na strumieniu Wodopój i noszącego swoiską, adekwatną do starej funkcji nazwę Poidło. Poidło jest

zabytkiem przyrody, nic więc dziwnego, że jest tu spokój, który zwabił pluszczę – niewielkie ptaszki, chętnie budujące swoje gniazda za zasłoną spadającej wody.

14 – tyle zbiorników wodnych liczy kompleks noszący nazwę Stawów Rębiszowskich, przy czym w granicach gminy Mirsk znajduje się sześć z nich.

321 – tyle domów zostało wpisanych do Gminnego Rejestru Zabytków Mirska. Biorąc pod uwagę, że miasteczko jest niezbyt duże, to można powiedzieć, że większość mieszkańców znalazła dach nad głową właśnie w zabytku. A gdyby dodać do tego zabudowania

wiejskie w sołectwach, to łącznie w rejestrze znajduje się niemal 1.200 obiektów zabytkowych, głównie mieszkalnych. Głównie, bowiem wpisano tam też niektóre stodoły, budynki dworców kolejowych (np. w Rębiszowie), wiadukty (Orłowice), czy trafostacje. W rejestrze znalazła się również remiza strażacka i dawna kuźnia w Kwiciszowicach. Jednym z najciekawszych obiektów (niestety pozostających w ruinie) są zabudowania b. ośrodka wypoczynkowego, z nieistniejącą już kregielnią we wsi Kotlina tuż pod szczytem Sępiej Góry. Czy prawdą jest, że tu znajdował się hitlerowski ośrodek „Lebensbornu”? – trudno przesądzić.

Kalendarz inny niż wszystkie

Kalendarz Pogorza Izerskiego w tym roku – to osiem obrazów namalowanych (narysowanych) przez mieszkańców Pogorza, często ilustrujących tutejszy krajobraz, najciekawsze obiekty, czy przedstawiających rodzajowe scenki. Na kalendarzu pomieściło się osiem prac, ale zaproszeni do jego skomponowania autorzy mają ich w dorobku znacznie więcej. Zdecydowaliśmy się poprosić wszystkich twórców naszego kalendarza o krótką rozmowę o ich pasji, a także do użyczenia nam innych obrazów, by może je było opublikować w gazecie. To daje ogromną szansę, by każdy, kto powiesi na ścianie swego mieszkania czy biura swój kalendarz, pozna – poprzez tę rozmowę, opublikowaną w gazecie – nieco bliżej twórców.

Zapraszamy więc do bliższej znajomości.

Moje emocje pozostają ze mną



Agnieszka Marek „Siwa” (ten określenie towarzyszy jej nazwisku od wielu lat) mieszka w Wieży, tuż pod Gryfowem Śląskim. Naturalną koleją rzeczy wiele jej obrazów dotyczy właśnie tego miasta. Niczego nie ujmując architekturze miejscowości, na jej obrazach Gryfów wygląda chyba trochę lepiej, niż w realu. – Maluję bardzo często na podstawie fotografii, tak właśnie powstał ten obraz, który trafi na aukcję WOŚP w 2026 roku – mówi autorka. – Nie dodaję miastu urody, ono naprawdę takie jest, przynajmniej w oczach ludzi, którzy lubią to miejsce. Nie ma w tych obrazach fałszu, czy komplementu, to efekt życzliwego postrzegania domów, którym charakter nadają ludzie.

– Obraz może powstawać trzy dni, albo trzy miesiące, czasami nawet dłużej. To nie zależy od trudności motywu, czy techniki, a od emocji, które towarzyszą procesowi powstawania. Od tego, czy jestem gotowa na ten właśnie obraz w tym właśnie czasie. Niezależnie, jaki jest, czego dotyczy, nie będzie sprzedany. To są moje emocje, które pozostają w moim domu. Pomijając inne aspekty nie umiałabym przeliczyć tych wartości na pieniądze. I nie zamierzam przeliczać. Wyjątek jest jeden w roku – jeden z obrazów spośród tych, jakie w tym czasie powstają trafia na aukcję Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy – wtedy dochód ze sprzedaży idzie na cele WOŚP i to jest zupełnie inna sprawa.

A. Marek pochodzi z pobliskiego Radoniowa. Wyjechała na Śląsk, bo takie były życiowe wybory, potem wróciła, wraz z mężem, dziećmi, bo takie były kolejne wybory. W żadnych nie było przypadku. – Na Śląsku zajmowałam się handlem, prowadziłam udaną działalność gospodarczą, choć najpierw musiałam przełamać tamtejsze postrzeganie kobiety, jako żony i matki, pilnującej wyłącznie domu. W tamtym środowisku nie jest to łatwe, trzeba naprawdę pokazać twardy charakter, żeby mężczyźni uznali status kobiety, ale to temat na inne opowiadanie.

W pewnym momencie uznałam, że nie muszę już nikomu niczego udowodniać, nawet sobie. Postanowiliśmy z mężem znaleźć swój dom. Taki który

IZERY jak malowane!

2026



Styczeń						
Pn	Wt	Sr	Cz	Pt	Sb	N
		1	2	3	4	
5	6	7	8	9	10	11
12	13	14	15	16	17	18
19	20	21	22	23	24	25
26	27	28	29	30	31	

Luty						
Pn	Wt	Sr	Cz	Pt	Sb	N
						1
2	3	4	5	6	7	8
9	10	11	12	13	14	15
16	17	18	19	20	21	22
23	24	25	26	27	28	

Marzec						
Pn	Wt	Sr	Cz	Pt	Sb	N
						1
2	3	4	5	6	7	8
9	10	11	12	13	14	15
16	17	18	19	20	21	22
23	24	25	26	27	28	29
30	31					

Kwiecień						
Pn	Wt	Sr	Cz	Pt	Sb	N
						1
2	3	4	5	6	7	8
9	10	11	12	13	14	15
16	17	18	19	20	21	22
23	24	25	26	27	28	29
30						

Maj						
Pn	Wt	Sr	Cz	Pt	Sb	N
						1
2	3	4	5	6	7	8
9	10	11	12	13	14	15
16	17	18	19	20	21	22
23	24	25	26	27	28	29
30	31					

Czerwiec						
Pn	Wt	Sr	Cz	Pt	Sb	N
						1
2	3	4	5	6	7	8
9	10	11	12	13	14	15
16	17	18	19	20	21	22
23	24	25	26	27	28	29
30						

Lipiec						
Pn	Wt	Sr	Cz	Pt	Sb	N
						1
2	3	4	5	6	7	8
9	10	11	12	13	14	15
16	17	18	19	20	21	22
23	24	25	26	27	28	29
30	31					

Sierpień						
Pn	Wt	Sr	Cz	Pt	Sb	N
						1
2	3	4	5	6	7	8
9	10	11	12	13	14	15
16	17	18	19	20	21	22
23	24	25	26	27	28	29
30	31					

Wrzesień						
Pn	Wt	Sr	Cz	Pt	Sb	N
						1
2	3	4	5	6	7	8
9	10	11	12	13	14	15
16	17	18	19	20	21	22
23	24	25	26	27	28	29
30						

Październik						
Pn	Wt	Sr	Cz	Pt	Sb	N
						1
2	3	4	5	6	7	8
9	10	11	12	13	14	15
16	17	18	19	20	21	22
23	24	25	26	27	28	29
30	31					

Listopad						
Pn	Wt	Sr	Cz	Pt	Sb	N
						1
2	3	4	5	6	7	8
9	10	11	12	13	14	15
16	17	18	19	20	21	22
23	24	25	26	27	28	29
30						

Grudzień						
Pn	Wt	Sr	Cz	Pt	Sb	N
						1
2	3	4	5	6	7	8
9	10	11	12	13	14	15
16	17	18	19	20	21	22
23	24	25	26	27	28	29
30	31					



www.lgdpartnerstwoizerskie.pl

odpowiadałby naszym wspólnym potrzebom – duży, dla wszystkich, którzy zechcą nas kiedyś odwiedzić, przytulny dla nas, będący dobrym miejscem dla całej rodziny. Znaleźliśmy chałupę – marzenie. Poza jednym drobiazgiem – była w kompletnej ruinie. Dom powstał długo przed 1819 rokiem, bo wtedy już były o nim wzmianki i wymagał, jak każda cenna sprawa dwóch rzeczy – serca i pieniędzy. Zdobył nasze serce w dniu, w którym go zobaczyliśmy. A my zdobyliśmy pieniądze na zakup i remont. Lepiej nie mówić o szczegółach, bo początki zapowiadały się dramatycznie trudne.

Malowanie zawsze było dla niej ważne, a zaczęło się, nim jeszcze poszła do szkoły. Potem, z wieloma przerwami, wracała do sztuki, bo ta pasja była odskocznią od spraw trudnych, najlepszym specyfikiem na to, by sobie z nimi radzić. I tak by sobie poradziła, ale malowanie było lepsze. Taka terapia, w dodatku bez skutków ubocznych. Wróciła do malowania już jako dwudziestolatka, i to już było coś innego, bardziej na serio, obrazy też zaczęły być inne.

– Można w nich znaleźć dokument czasu, albo metaforę. Albo alegorię.

Niektóre moje prace budzą rozmaite reakcje. – Dla przykładu obraz, który można nazwać „Matka Galaktyka”, postać kobiety ze stalowymi skrzydłami, nagim biustem – mówi A. Marek. – Jednych dziwią skrzydła, że stalowe, bo przecież wszyscy wiedzą, że są z piór. Inni uznają nagie piersi za rodzaj prowokacji. A to wszystko jest dla mnie oczywiste. Stal – to siła, którą musi okazywać istota tworząca kosmos a piersi? Jest kobietą. Ich nagość jest naturalna i nie powinna urażać niczyich uczuć. Galaktyka nie jest gatunkiem anioła.

Są i inne obrazy, w których ważny jest szczegół, niedostrzegalny na pierwszy rzut oka. W portrecie rusalki, pływającej się w rozświetlonej słońcem wodzie (n.b. pozowała córka) pojawia się fragment diabelskiej wręcz dłoni. Ten detal jest ważny, bo przecież uroda rusalki w słowiańskiej mitologii jest tylko wabikiem, a w gruncie rzeczy przepiękne, kuszące istoty same były demonami wód, pól, czy lasów. Dłoń przypomina, że uroczna postać może być okrutna, a fizyczna uroda bywa tylko pozorem.

– Mogę sobie pozwolić na malowanie, bo dom, w który włożyliśmy tak

wiele pracy jest podstawą innych kreacji. Mówię „dom” myśląc nie tylko o budynku, ale o wszystkich najlepszych emocjach, jakie niesie ze sobą to określenie. Mamy tu kontakt z naturą, już od drzwi, prześliczne krajobrazy nas otaczające. Ludzi z naszej wsi, którzy cenią nawzajem swoje towarzystwo, lubią być razem przy okazji rozmaitych spotkań, jakie tu urządzamy, od „andrzejek”, przez „mikołaja” do „sylwestra”. Izery to świetne miejsce, zrozumiałam to najlepiej wtedy, kiedy stąd wyjechałam. A że los dał mi szansę tutaj powrócić, to tym bardziej je doceniam.

– Jeśli to wszystko po kawałku udaje się Pani przelać na płótno, zapisać w obrazach, to może choćby dlatego warto je ludziom sprzedawać? Podzielić się swoimi najlepszymi emocjami....

– Ależ ja się dzielę! Moje obrazy trafiają na wystawy, może je oglądać, kto tylko chce. Ale sprzedaż, przyjmowanie zleceń na namalowanie konkretnych widoków? – nie. Malowanie jest moją potrzebą, daje mi ogromnie wiele radości i nie chcę tego psuć pieniędzmi. To są moje intymne emocje i niech one zostaną przy mnie. I we mnie.



Nie można malować wbrew sobie

– Maluję od niedawna, zaczęłam po przejściu na emeryturę, choć kilkadziesiąt lat temu już o tym myślałam, ale nie było nigdy czasu, by zająć się tym poważnie – mówi Agnieszka Wieczorek z Olszyny, autorka wielu obrazów, które m.in. ze względu na intensywność barw przyciągają uwagę. Według niej malowanie jest rodzajem autoterapii dla osób, które poszukują sposobu na wyrażenie siebie. I mniej ważne są motywy plastyczne, choć nie jest to obojętne dla odbiorcy. Ważniejsza jest dynamika, poszukiwanie skali kolorów, wybór techniki...

– Początkowo malowałam wyłącznie dla siebie – wspomina – potem różni moi znajomi prosili mnie o moje prace, a ja nie odmawiałam. Ostatnio zdarza się coraz częściej konkretne zamówienie. To taki efekt „rozchodzącej się fali”. Jeśli moje obrazy są już w wielu domach, to coraz więcej przypadkowych osób ma szansę je obejrzyć i zapytać o autora.

A. Wieczorek maluje kwiaty, zwierzęta, martwą naturę, najchętniej przyrodę. Te tematy pozwalają trochę „poszaleć” z paletą barw, ale i krajobrazy Pogórza Izerskiego są częstym motywem jej prac. – Niezależnie od nastroju, czy samopoczucia staram się zachować optymizm, a moje obrazy oddają ten mój stosunek do życia. Myślę, że to naturalne w pracy każdego. Nie można malować wbrew sobie i jestem przekonana, że każdy – amator, czy zawodowiec – tak właśnie pracuje. I w życiu, i w moich obrazach się nie oszczędzam. Lubię intensywne kolory, bo to mnie pobudza i dobrze nastraja. Jestem przekonana, że większość ludzi myśli podobnie, a przynajmniej bardzo się o to stara. Mam jednak znajomych, którzy też zajmują się plastyką i oni malują inaczej. Używają stonowanych barw, wybierają nietypowe motywy, ich prace są jakby trochę „zgaszone”. Nie umiałabym tak, zresztą rozmowach z nimi mówię o tym otwarcie. Wiem, że człowiek energiczny przelewa na

Miały przyciągać wzrok i być taką formą promocji tego stoiska. Okazało się, że spełniły swoją rolę aż za dobrze, tylko nie tak, jak planowałyśmy. Obrazy... sprzedały się w komplecie! Produkty z lawendą – w przypadku tamtego jarmarku – trochę gorzej, co rozbawiło nas obie. Ale na kolejnych jarmarkach z samą lawendą poszło jej znakomicie. Zresztą lawenda staje się powoli jedną popularniejszych upraw na Pogórzu Izerskim. W kilkudziesięciu miejscach widać już większe i mniejsze pola, bę-



obraz swoją energię, to jest naturalne. Ta energia do niego wraca, a później – mam taką nadzieję – rozsiewa się w domach, gdzie można te obrazy widzieć.

Czasami zdarzają się incydenty, w których obrazy grają rolę nie do końca sobie przypisaną. – Swego czasu jedna z moich znajomych – wspomina A. Włodarczyk – poprosiła mnie o obrazy z motywem lawendy, najchętniej z rozległymi jej polami. Sama miała niedużą uprawę tej rośliny, a że jechała na jakiś jarmark, gdzie miała wystawiać swoje woreczki, mydełka i inne wyroby na bazie lawendy, chciała mieć też obrazy.

dące atrakcją samą w sobie. Właściciele upraw – jak słyszałam – wykorzystują swoje pola już nie tylko do wysadzania lawendy, ale wokół niej powstają nowe inicjatywy. Pole stanowi efektowny plener do sesji fotograficznych, także ślubnych, motywami lawendy zdobiona jest ceramika i szkło. Pogórze staje się miniaturową Prowansją? Pewnie do tego jeszcze daleko, ale patrząc z mojego punktu widzenia – jest dobrze. To jeden z bardziej intensywnych kolorów w paletce plastyka.

– W swojej działalności przedkładałam realizm nad abstrakcję. – mówi autorka

obrazów. – Wprawdzie wiem, że dynamiczny układ barwnych plam także może za sobą nieść emocje, ale jestem przekonana, że feeria jesiennych barw bukowego lasu, oddanego w naturze, lepiej przemawia do widza, niż podobna kolorystyka abstrakcyjnego dzieła. Szanuję tamte sposoby, ale wybrałam własne.

– Maluję z natury, z wyobraźni, czasami ze zdjęć. Nie zawsze mogę dojechać do miejsc, które chciałabym uwiecznić, a często ci ludzie, którzy przejawiają zainteresowanie moimi obrazami mają też swój sposób postrzegania czegoś

Konie i reszta świata



– Zawsze lubiłam rysować, ale o malowaniu nawet nie myślałam, dopóki – jeszcze jako mała dziewczynka – nie pojechałam do ciotki, która po amatorsku malowała. Popatrzyła na moją robotę i właściwie włożyła do ręki pędzel. Usłyszałam: po prostu spróbuj! I to był przełom – mówi Monika Grubizna.

Oczywiście nie od razu, bo inna konwencja była na tyle odległa od moich zamiarów, że musiałam się do niej przekonać, ale w pewien sposób wpłynęła i na wybór szkoły, i na rozwój zainteresowań.

Najbardziej interesującym motywem w moim malarstwie są konie, zresztą nie tylko w malarstwie. To fascynujące zwierzęta, łatwo się z nimi zaprzyjaźniam, dla mnie po prostu pachną. Może to, że je lubię, sprawia, że chętnie je maluję? Ale to działa też w drugą stronę. One jakoś może wyczuwają, jak bardzo je lubię i nawet podobno narowiste, przed którymi mnie ostrzegano, były wobec mnie bez zarzutu. A może to jakaś ogólna zasada, że pozytywne uczucia, jakie człowiek ma do świata, sprawiają, że i świat zdaje się być lepszy? Pamiętam Agnes i Hermesa, pierwsze konie, które były tematami moich prac. Potem było wiele innych, ale... To nie jest tak, że siadam do obrazu i nie odkładam pędzla, póki nie skończę. Są i takie, które powstały częściowo A bywają takie, które dokończyłam po... dziesięciu latach przerwy! Nie ma sensu, by się zmuszać. Przestrzegam tej zasady, inaczej malowanie byłoby katorgą, a przecież ma być frajdą.

Stosuję różne techniki, ale przede wszystkim cenię olej. Wprawdzie wymaga cierpliwości, schnie dużo dłużej, niż akryl, ale jest bardziej tolerancyjny, niż akwarela. Tyle, że prawie każdy temat sugeruje wybór rodzaju farb, a właściwie farby rozstrzygają o ostatecznej aurze obrazu. Martwa natura

z makami – dla przykładu – w akwareli, czy akrylu będzie odbierana zupełnie inaczej, co należy brać pod uwagę przy ewentualnych zamówieniach. Odbiorca jeszcze przed namalowaniem „widzi” zamawiany obraz, a nawet wyobraża sobie całe wnętrze, w którym będzie wisiał. Ktoś, kto maluje, musi jego wizję odgadnąć, a to może być dużo trudniejsze, niż namalowanie

Ja sama przymierzam się do piwonii. Lubię kwiaty, lubię pracę w ogrodzie, więc odcienia barw, czy rysunek płatków mam zapisane w pamięci. Teraz wystarczy tylko to przelać na papier, czy płótno.

Ale a propos – przelać. Pojawiła się niedawno taka technika malarska, która niemal dosłownie ilustruje to określenie. Chodzi o „pouring painting”. Rozrzedzone farby wylewa się po prostu na płótno, osiągając niekiedy interesujące rezultaty. Oczywiście, to nie jest malarstwo w takim pojęciu, jak je rozumiemy, to raczej zabawa z farbą, niemniej każdy może chociaż poprobować. Nie każdy jednak osiągnie interesujące go wyniki, bo w takim malowaniu trzeba się też wykazać wyobraźnią. Forma czy kształt plam, kontrasty, gama kolorów... to wszystko wymaga i odrobiny znanstwa, ale i trochę pokory, jeśli się chce zwrócić uwagę na tak powstały obraz. Dla zabawy też tego próbuje. To jest o tyle interesujące, że można w taki sposób malować nie tylko drewno, czy płótno i papier, ale też.. meble, czy inne przedmioty” gabarytowe”. Tyle, że trzeba do tego podchodzić z pewną ostrożnością, bo przecież, gdybyśmy wymalowali kuchnię taką techniką, to warto mieć świadomość, że w takiej przestrzeni musimy później żyć. A to już może być dużym wyzwaniem, gdybyśmy przesadzili w wyborze barw.

W malarstwie, jak we wszystkim, jest miejsce dla eksperymentów, ale nie ma wolnej przestrzeni dla przesady.



Domy – jak ludzie – mają swoje charaktery

Czytelnicy „Ech Izerskich” znają prace Joanny Małoszczyk, mieszkanki Gryfowa Śląskiego, której obrazy – głównie grafika i akwarele – prezentowane były na wielu wystawach, nie tylko w miejscowościach Pogorza. Jedną z jej prac będzie zdobić kalendarz Pogorza Izerskiego 2026.

– Mieszka Pani na Pogórze, maluje i rysuje bardzo często motywy charakterystyczne dla Pogorza, czy to obsesyjne zauroczenie?

– Zdecydowanie tak, ale niewiele ma wspólnego z obsesją. Pogórze, jego architektura i krajobrazy są fantastyczną inspiracją dla artystów. Inna sprawa, że nie ograniczam się do tych motywów. Często maluję kwiaty, martwą naturę, kobiece akty i rysuję w stylu, który nazwałabym „neo-secesją”, inspirowaną jednak stylem bliższym Francji, niż

Austrii czy Niemiec. Rzadko podejmuję się malowania izerskich pejzaży, są urzekające, ale to nie moja (plastyczna) bajka. A architektura – owszem, bardzo. Z oczywistych powodów „zmalowałam” cały Gryfów Śląski, ale bardzo lubię swoistą magię, którą emanują domy w Świeradowie-Zdroju, wiele domów, czy innych obiektów Mirska, Lubania, Lwówka Śląskiego. Szkicuję też w Jeleniej Górze.

– Pani prace wiernie oddają bardzo wiernie wygląd tych miejsc, ale jednak obraz pozwala skupić się na detalach, które nie zawsze dostrzegamy w realu ...

– Z oczywistych powodów, bo każdy z nas nieco inaczej widzi ten sam dom, co może wynikać z kąta patrzenia, kąta padania światła, pory dnia i wielu innych drobiazków. A przede wszystkim

– plastyk jednak „filtruje” to, co widzi. Można powiedzieć – nakłada swoją „siatkę”, narzuca oglądającemu sposób postrzegania, choćby przez kierunek kreski w grafice. Ale to jest tylko obraz, naprawdę magią emanuje budynek. Wiele z nich – to zabytki poprzedniej epoki, z czasów, kiedy projekty domów, szczególnie w kurortach, nosiły indywidualne piętno ich twórców. Dziś całe osiedla w różnych miastach są ludzko podobne do siebie, dawniej każdy z domów stanowił indywidualną wyspę w szeregu innych. wystarczy spojrzeć na pierze gryfowskiego rynku, każdy dom jest niepodobny do innego. A kiedy mamy jeszcze możliwość oglądania detali, to wtedy każdy z zaułków można rozrysowywać bez nudy długi czas. A kiedy już rysujemy, czy malujemy domy, to często uchylają one przed



nami swoje tajemnice. Jest – dla przykładu – dom w Gryfowie, w którym swego czasu istniała spora „lustrzana sala”. Elewacja jest mocno zaniedbana, nikt by się nie domyślił, ile urody skrywa luszczący się mur. Faktem jest, że niewiele już z urody wnętrza pozostało, ocalałe lustra zdobią dziś inne wnętrza, ale „duch” takiego domu pozostaje.

– Rysunki są sposobem, by coś z minionych epok ocalić dla tych, którzy nie są aż tak wrażliwi na urodę architektury?

– Owszem, ale przecież nie tylko prace plastyczne. Należę do Towarzystwa Miłośników Gryfowa Śląskiego i wiem, jak wiele zaangażowania jego prezes i inni koledzy przejawiają, by organizować wycieczki, prowadzić gawędy na

temat przeszłości tego miasta. To bardzo cenne przedsięwzięcia, w których nieodpłatnie biorą udział zainteresowani.

– A Pani...?

– Mój świat zamykam i otwieram kreską, bo w końcu każdy obraz to jakaś suma kreski i plam. I to jest jeden z moich sposobów ocalania tego, co przemija i otwierania oczu na to, co udało się ocalić.

Joanna Małoszczyk jest także autorką kilku tomików poezji. Kto czytał jej wiersze, wie, że mają zupełnie inny nastrój od prac plastycznych, oba te światy wprowadzają przystając do siebie, ale są zupełnie odmienne.

Jeden obraz ich dwojga (i okruch słodczy)

Praca, która trafiła na kalendarz jest naszą wspólną, moją i syna – mówi Marlena Handke z Zawidowa. – Wiem, że to się zdarza niezwykle rzadko i pewnie w profesjonalnych pracowniach byłoby to trudne do wyobrażenia, bo nawet jeśli uczniowie przygotowują obraz dla mistrza, to jednak on ten

obraz dopracowuje i sygnuje. Ale my możemy sobie pozwolić na współpracę, szczególnie jeśli końcowy efekt wzbudza zainteresowanie. W tym przypadku podzieliliśmy między siebie elementy obrazka i każde z nas dopracowywało „swoją kawalek”. A razem jest to spójny widok na czym nam szczególnie zale-

żało. Marlena Handke jest na co dzień pracownikiem ośrodka pomocy społecznej, pracy, która właściwie nie ma końca. Próby wyprowadzenia na prostą niesamodzielnych rodzin nieczęsto kończą się sukcesem, a traumy z tego wynikające dotyczą raczej pracowni-

ków, niż ich podopiecznych. Oni się mniej przejmują swoim własnym losem, ufając, że życie ich nie skrzywdzi ponad miarę. Oczywiście zdarza się, że wsparcie przynosi dobre wyniki i pozwala podopiecznym na wychodzenie z ubóstwa różnego rodzaju, ale częściej taka mrówcza robota opiekunów socjalnych nie kończy się jakimś efektownym finałem, więc pozostaje stres i rozmyślanie o przyczynach.

– Dlatego po pracy uciekam do takich zajęć, które pozwalają mi się zrelaksować psychicznie, żebym mogła bez złych emocji kolejnego dnia znowu starać się optymistycznie podchodzić do zajęć. Syn też lubi rysować, ma sporą wyobraźnię, więc albo solo, albo w duecie podejmujemy jakieś zadania, które zresztą sami sobie nakładamy.

To „solo” w wykonaniu M. Handke ma zupełnie inny wymiar. Choć



też ściśle związany z plastyką, jednak zdecydowanie inaczej. – Kiedy moja siostra miała osiem lat (a dziś ma trzy razy więcej) postanowiłam na jakąś jej uroczystość przygotować dla niej bogato zdobiony tort. Miał, o ile pamiętam, kształt krowy, bo taki właśnie był wtedy potrzebny. Wzbudził powszechny podziw, więc to mnie zachęciło do kolejnego eksperymentu. Rodzina i znajomi, widząc jak wygląda (i smakuje!) to co robię od czasu do czasu proszą mnie o przygotowanie czegoś oryginalnego. A ja daję się podpuścić i nie tylko wymyślam jakieś nowe zde-

bienia, ale też poszerzam wiedzę z cukiernictwa, żeby to było – poza formą – możliwie najsmaczniejsze i zaskakujące doborem składników. I tak kilkanaście lat zleciało, nie umiem nawet powiedzieć, ile tortów wyszło spod mojej ręki.

– A najbardziej oryginalne?

– Pamiętam „małą Mi” z gerberami, oczywiście – wszystko było do zjedzenia, ale najbardziej oryginalny był inny. Znajomi poprosili mnie kiedyś o przygotowanie tortu na uroczystość jakiegoś lekarza. Miał być ozdobiony korpussem człowieka poddawanego operacji

chirurgicznej, więc intensywnie skrąwionego. Żeby nie zabawny kontekst całej sprawy, to byłaby to koszmarna historia, ale właśnie ze względu na uwarunkowania została moja praca została przyjęta – jakkolwiek to zabrzmiało – ze smakiem. Pewnie gdybym się tortami zajmowała zawodowo, to nie byłabym zainteresowana takimi historiami, ale że to pozazawodowe hobby, pozwala na psychiczny odpoczynek.

– Psychiczny...?

– Owszem, bo fizycznie to można powiedzieć, że niejedynemu tort, który musi wyglądać i smakować potrzebuje 8 – 9

godzin mojej pracy. Jeśli efekt końcowy jest zgodny z moimi oczekiwaniami, to nie żałuję ani minuty. A największą satysfakcją mam, kiedy biesiadnicy mówią później, że kiedy patrzyli na ten tort, to trudno im było zdecydować się, by go... pokroić.

– Z widokiem Zawidowa, który znalazł się na kalendarzu Partnerstwa Izerskiego nie ma takich dylematów?

– Zdecydowanie nie. Wręcz odwrotnie – tu musieliśmy z synem poskładać w jeden kawałek rozmaite elementy. Zadanie było określone precyzyjnie: miał to być efekt linorytu, z elementa-

mi nawiązującymi do charakterystycznych obiektów Zawidowa. Kot jest już naszą inwencją. Farby olejne się nie sprawdziły, skończyło się na akwareli i plakatówkach. Okazało się, że ta surowa w gruncie rzeczy forma trafiła w gust oceniających. To spora satysfakcja, nie ukrywamy, że takie sprawy przynoszą radość. W końcu jesteśmy amatorami w plastyce, choć intensywnymi próbami staramy się doskonalić. Uznanie efektów naszych wysiłków za interesujące dodaje pewności siebie na przyszłość.

Drzewo wiele opowie...

Najlepszym dowodem na twierdzenie, że rysowałem „od zawsze” jest fakt, że nie pamiętam, kiedy zacząłem – mówi Jacek Knap z Wlenia. – To musiało być we wczesnym dzieciństwie, bo w szkole podstawowej ta pasja już dawała o sobie znać. Ale w tamtym okresie pociągały mnie komiksy i rysowanie właśnie w takim stylu. Do dziś pamiętam nazwiska wielu rysowników, którzy byli autorami moich ulubionych. Później rysunek traktowałem już bardziej serio, zacząłem pracować nad formą, szukać inspiracji przeglądając prace

na wzgórkach unosząc się nad polem, jak fala na morzu, pociąg wjeżdżający na stacyjkę, którego lokomotywa przypomina buchający parą czajnik i setki (może tysiące) innych rysunków, które stały się tematem wystaw, służą promocji miejsc, zdarzeń i ludzi. Jego rysunki pojawiły się na pocztówkach, ozdobnych torbach, kubkach, są i takie, które stanowią wystroj sal i galerii, albo są na wprost muralami.

– Oczywiście miałem i mam swoich idoli malarskich – mówi Jacek. – Dawniej Tadeusz Wróblewski i Szymon

że nie mogę sobie wyobrazić swojej twórczości bez ich udziału. Są w moich rysunkach detalem i głównym tematem, pretekstem i powodem. W mojej wyobraźni i w moich rysunkach żyją nie tylko własnym życiem, one dodają życia innym. Czasami je odbierają. W tym przypadku inaczej, niż przy wielu obrazach moje drzewa nie mają nic wspólnego z twórczością malarzy, słynących z obrazów lasów i drzew, jak choćby Szyszkina. Ich lasy są monumentalnie piękne, moje drzewa bywają boleśnie okaleczone, z reguły – samotne.



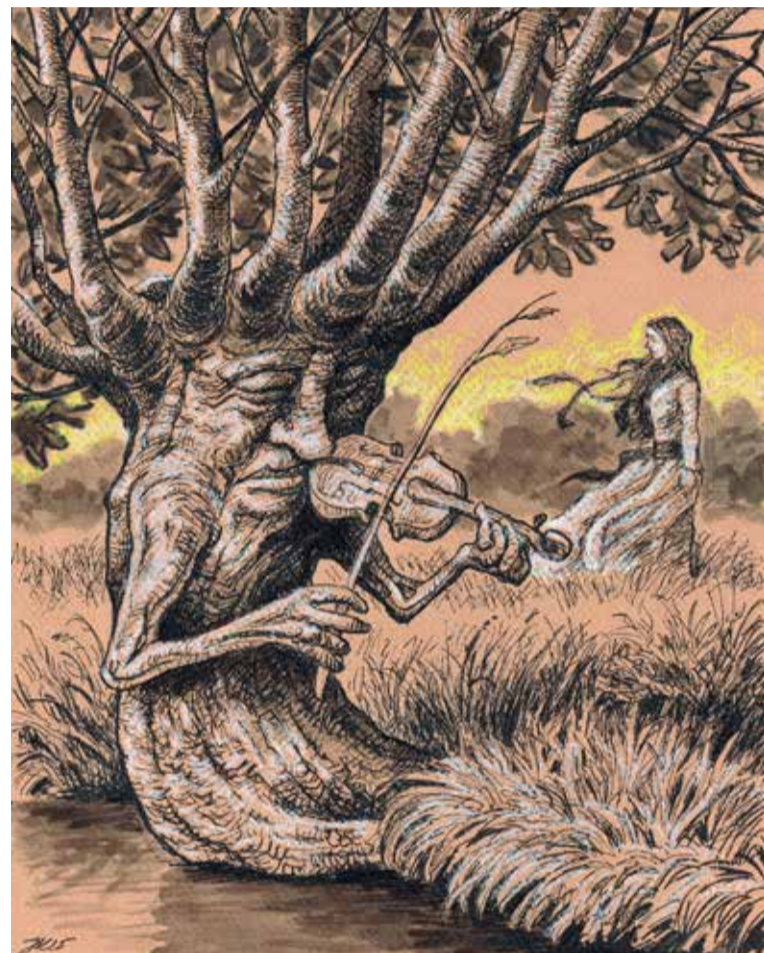
uznanych autorytetów w tej branży. Miałem zamiar podjąć studia plastyczne, ale losy się poukładały inaczej i trafiłem do wojska, co definitywnie doprowadziło do zmiany życiowych planów.

Zastanawianie się, co by było, gdybym je zrealizował jest abstrakcyjne i nie zaprzęgam sobie tym myśli. Tym bardziej, że odpowiedź na te wątpliwości nie jest prosta. Z jednej strony z pewnością edukacja artystyczna pozwala na okrzepnięcie, pomaga w zdobywaniu warsztatu, podpowiada sposoby rozwiązywania technicznych problemów, a to ważne. Z drugiej strony samouk ma inną wrażliwość, jest bardziej naturalny w tym co robi i jeśli poświęci próbom wystarczający czas, a przy okazji ma odrobinę iskry, to może osiągnąć dobre rezultaty, określić swój styl. Obrazy bywają jak linie papilarne różnych ludzi – w zasadzie są podobne do siebie, ale użyta w obrazach kreska jest jedyną dla jej autora.

Rysunki Jacka Knapa są w większości metaforyczne, o każdym niemal można powiedzieć, że „niesie przesłanie pozarysunkowe”. Drzewo, które w swojej koronie unosi centrum starego miasteczka, wionoczeła, której pęd pod rezonansowe to drzewi do innego świata, dom stojący

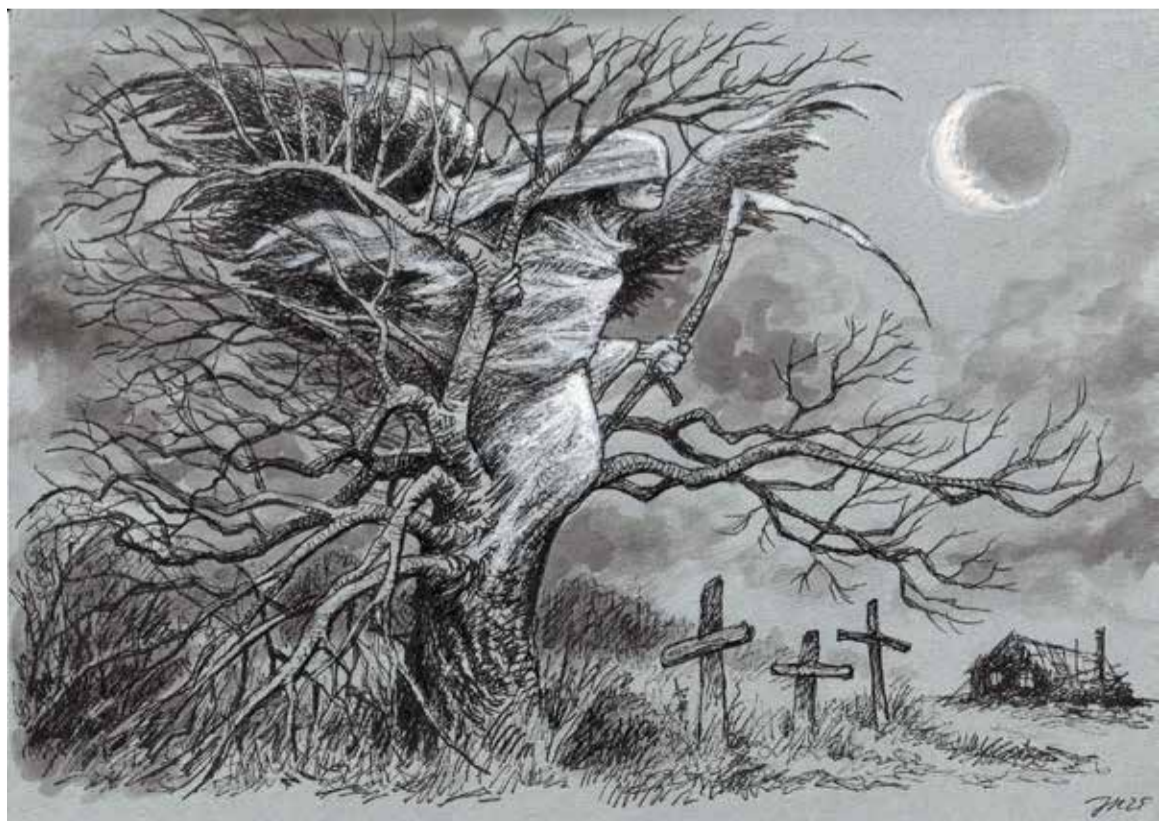
Kobyliński, potem też kilku innych, z pewnością atmosfera niektórych moich prac ma w sobie mnóstwo mrocznych emocji, w wyrażaniu których mistrzem nad mistrzami był Zdzisław Beksiński. Ale – niezależnie od atmosfery obrazu – ważny jest dla mnie klimat wsi. Przebywałem od zawsze na Pogórze Izerskich, szczególnie często w Golejowie, gdzie mieszkali moi dziadkowie, więc naturalną konsekwencją jest, że w moich rysunkach wieś pojawia się przede wszystkim. Ale nie ta sielska, z rzepakiem, kłosami zbóż i bocianami nad polem. Jeśli już – to ta bardziej mroczna ze wszystkimi jej niedoskonałościami, ale właśnie dlatego – moim zdaniem – tkwi w tych obrazach prawda.

Nie mam swojego ulubionego rysunku, choćby dlatego, że jest ich tak wiele. Nie mam nawet ulubionych tematów. Na moich rysunkach architektura (głównie Pogórze, rzeczywiście), tutejszy pejzaż i ludzie są traktowani komplementarnie. Przecież także w rzeczywistości współlegzystują. Faktem jest jednak, że są motywy, które pociągają mnie szczególnie – to drzewa. One dają wyobraźni plastycznej tyle możliwości, przynoszą tyle szans kompozycji,



Zresztą w przypadku chyba wszystkich plastyków bywa tak, że w różnych okresach życia i pracy pociągają ich inne tematy. Swego czasu, w okresie wczesnej młodości uwielbiałem sceny batalistyczne. Sporo moich starych zeszytów szkolnych wypełnionych jest rysunkami bitew i sylwetkami żołnierzy różnych epok i wojsk. Nawet wiem, kto jeden z tych zeszytów do dziś przechowuje, więc pewnie kiedyś poproszę go

o pożyczkę i zrobię skany tamtych prac. Przypomnę sobie – jak było. Czasami sam jestem zaskoczony finalnym skutkiem mojego rysowania. To zabawne, ale bywa, że rysunek „sam” się pojawia, a ja się trochę dziwię, że jest lepszy, niż go sobie wyobrażałem. Nigdy nie można przewidzieć, jaki będzie efekt. I to chyba lubię najbardziej, że część procesu powstawania rysunku odbywa się trochę poza mną.



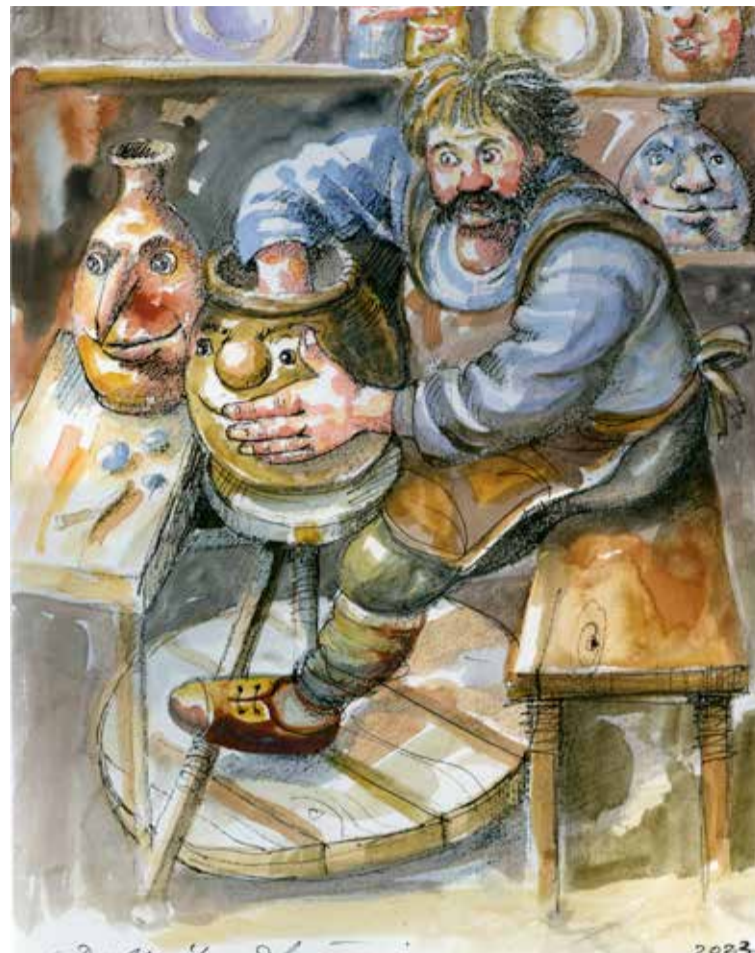
Człowiek – orkiestra z pędzlem (i sercem) na dłoni

Spośród ośmiorga autorów prac, które są publikowane w przyszłorocznym kalendarzu Partnerstwa Izerskiego najbardziej znanym jest oczywiście Dariusz Miliński, mieszkaniec Pławnej Dolnej od niepamiętnych czasów. Malarz, mający na koncie ponad 200 wystaw w różnych krajach świata, autor kilkudziesięciu plakatów teatralnych i filmowych (w tym do tak znanych polskich filmów, jak „Edi”, czy „Nikifor”), swego czasu kreator happeningów teatralnych w wielu miejscowościach Pogorza, organizator warsztatów artystycznych, na których gościł w swoim domu początkujących artystów (niektórzy z nich – jak Vahan Bego, rzeźbiarz, autor czterech jeleniogórskich rzeźb) są już renomowanymi artystami, znanymi w całej Polsce.

Można wymieniać długo, bo D. Miliński napisał też teksty kilku piosenek, jest autorem książki – autobiografii, p.t. „Urodzony na cmentarzu”... O jego dystansie do samego siebie świadczy też książeczka dla najmłodszych „Kolorowanki Dziadka Darka”. Mało kto zdobyłby się na pomysł, by w jednym zakątku wsi, w której mieszka stworzyć pięć rozmaitych w formie i treści miejsc. A na skraju Pławnej powstały przecież „Zamek Legend Śląskich”, Galeria „Miliński” i średniowieczny gród, otoczony palisadą. Nieco dalej Muzeum Przesiedleńców i Wypędzonych, z kilkudziesięcioma figurami pełnopostaciowymi, rozmiarów dorosłego człowieka, upozowanych w scenach charakterystycznych dla powojennej migracji. Idea powstania Muzeum wią-

zała się z traumą osadników, którzy tu przyjechali po zakończeniu II wojny światowej i Niemcami, którzy zostali stąd wysiedleni na Zachód. Życie dopisało po wybuchu wojny w Ukrainie w 2022 roku nowe znaczenia wymowie tego Muzeum. D. Miliński stworzył też Arkę Noego – zbudował w stoku wyniosłego wzgórza, na którym stoi kościół, fantazyjną ilustrację Arki, do wnętrza której można wejść podziwiając jej wyposażenie i wielkie figury zwierząt, które ponoć przewiozła na suchy brzeg biblijna Arka.

– To wszystko prawda – mówi artysta – ale nie przywiązuję się do tego, co kiedyś powstało i innym też tak radzę. Najważniejsze zawsze jest to, co umiesz zrobić dziś, i co będziesz potrafił zrobić jutro. To, co już powstało, to w opinii



ludzi liczy się mniej, zawsze czekamy na coś nowego, co nas zaskoczy.

A ludzi zaskakuje jego twórcza wena w tak rozmaitych dziedzinach. Z całą pewnością ma charakterystyczną „kreskę”, taki sposób malowania, który odróżnia jego obrazy od innych. Oczywiście, są i takie trudno z nim identyfikowalne, czasami zależy od techniki, w jakiej obrazy powstają, czasami od tematu. A bywa, że od nastroju.

Maluje z wyobraźni, jego postacie i sceny, w jakich biorą one udział są wynikiem rozmaitych refleksji i życiowych doświadczeń. Z reguły kryje się w obrazach jakaś metafora, a karykaturalne niekiedy postaci mają nieoczywiste na pierwszy rzut oka cele działania. Detal ukryty w obrazie miewa zasadnicze znaczenie dla przekazu, ale... Są też

prace „na wprost”, gdzie ilustracja dopełnia i wzbogaca treść, jak to się dzieje z ilustracjami do książek.

– Osiągnąłeś sukces – pytamy – czy możesz zdradzić odrobinę tajemnic, jak się to robi?

– Mogą zdradzić wszystko, bo nie trzymam tajemnic. Potrzebna jest determinacja w pracy, wiara w powodzenie, nieoszczędzanie czasu na tę pasję, wsparcie i wyrozumiałość ze strony rodziny i przyjaciół, a do tego odrobina talentu i łut szczęścia. To wszystko we właściwych dla każdego innych proporcjach.

Obraz D. Milińskiego, zamieszczony w kalendarzu trafi na aukcję charytatywną, z której dochód przeznaczony jest na cel charytatywny.

Miliony kropek i kresek

Od lat maluję „swoje Pogórze”

Monikę Barabasz ze Starej Kamienicy – a precyzyjnie – jej twórczość Czytelnicy „Ech Izerskich” poznali kilkanaście lat temu przy okazji publikacji na naszych łamach jej rysunków domów przysłupowo-szachulcowych. Domy stały się symbolem Pogorza, a powszechnianie wiedzy o ich wyglądzie i zaletach z pewnością jest najlepszą formą promocji regionu. Warto wziąć pod uwagę oba tego powody. Pierwszy – że niektóre z nich znikają w oczach, bo chociaż trzymały się dzielnie, to niszczący wpływ czasu i pogody zrobił swoje. W wielu wsiach, mniejsza o nazwę, stoją już tylko kikuty dawnych przysłupów. Drugi powód jest bardziej optymistyczny, bo w licznych miejscach możemy widzieć zrewitalizowane perełki starych zabudowań. Te domy są na wskroś nowoczesne, w niektórych zainstalowano nawet ogrzewanie ścian, ale... instalacje poprowadzone są pod kamiennymi ścianami sieni i nie naruszają w niczym wizerunku chałupy.

– Rysunki domów przysłupowych – mówi nam autorka tych obrazów – to był ważny etap w mojej działalności. Wymagał precyzji kreski, bo miałam pełną świadomość, że przynajmniej w niektórych przypadkach tylko mój rysunek zostanie pamiętką po takiej budowie, a sam dom – zniknie. Ale urodę Pogorza można oddawać na

przeróżne malarskie sposoby, w tym m.in. w wyjątkowo wdzięcznej akwareli. Stąd sporo zmian.

Co się zmieniło przez te lata?

– Trochę tematyka moich rysunków – mówi M. Barabasz. – Domy rysuję nieco mniej, a doświadczenie, jakie przychodzi z czasem umożliwia przekazanie za pomocą rysunku, czy akwareli nieco głębszych emocji. Maluję niekiedy na zamówienie i wówczas staram się w rozmowie dociec na jakim aspekcie obrazu zależy temu, kto już niemal widzi taką pracę na ścianie swego mieszkania, w konkretnym pokoju. To ważne, bo obraz albo może stanowić „wartość dodaną”, albo być czymś, co nie pasuje. Wolę wiedzieć, jak i co zrobić, by uniknąć drugiej opcji. Ale maluję też „dla siebie”, bo to mnie relaksuje i wtedy sama widzę, że te prace są nieco inne. Niektóre polubię aż do tego stopnia, że żał mi się z nimi rozstać, jak i co zrobić, by uniknąć drugiej opcji. Ale maluję też „dla siebie”, bo to mnie relaksuje i wtedy sama widzę, że te prace są nieco inne. Niektóre polubię aż do tego stopnia, że żał mi się z nimi rozstać, jak i co zrobić, by uniknąć drugiej opcji. Ale maluję też „dla siebie”, bo to mnie relaksuje i wtedy sama widzę, że te prace są nieco inne. Niektóre polubię aż do tego stopnia, że żał mi się z nimi rozstać, jak i co zrobić, by uniknąć drugiej opcji.

Stałam się też bardziej wymagająca wobec siebie, więc niektóre z moim prac odkładam na półkę, po jakimś czasie przeglądam je i szukam miejsca, które należałoby poprawić. Czasami



Święta zarobiona



„Nie mam czasu – zarobiona jestem” – tak mogłaby powiedzieć święta Jadwiga, gdyby ktoś ją zapytał o zajęcia w roli świętej. Przypomnijmy, że Jadwiga Śląska (to ważne rozróżnienie, bowiem świętych kobiet o tym imieniu jest więcej) uznawana jest za patronkę Polski, a w szczególności – całego historycznego Śląska, który sięgał od linii Kwisy aż po Cieszyn. Ponadto patronuje polsko-niemieckiemu pojednaniu, województwu dolnośląskiemu, z miastem nieco dalszych – Krosnu Odrzańskiemu, Dębicy i Trzebnicy. W tym ostatnim przypadku to jest uzasadnione tym m.in., że zmarła w tamtejszym klasztorze w połowie października 1243 roku. Z kolei Krosno pamięta ją, bowiem tutaj schroniła się przed najazdem tatarskim. Krosno „ku pamięci” organizuje kilka imprez, m.in. turniej

rycerski o pierścien Księżnej Jadwigi oraz festiwal muzyczny Jadwigensis.

Całkiem niedawno, bo w 2017 Sejmik Województwa Dolnośląskiego nadał świętej tytuł Honorowego Obywatela Dolnego Śląska.

Z miejscowości Pogórze Izerskiego Jadwiga Śląska patronuje Nowogrodzcowi i Wleniowi, co obie miejscowości podkreślają przedsięwzięciami upamiętniającymi działalność świętej za jej życia. Uchwałą radnych Nowogrodzka św. Jadwiga patronuje miastu i gminie od 2009 roku, radni Wlenia podjęli taką decyzję w roku 2018.

Poza „grubszymi” patronatami opiekuje się też małżeństwami i chrześcijańskimi rodzinami, a że nie wszystkie są spokojne, to tylko z tymi sprawami zapewne roboty ma huk.

Nie dość, że z patronatami ma pewnie urwanie głowy, to w życiu też się natężyła koszmarne, o czym świadczy m.in. jeden z jej atrybutów – najczęściej trzyma w dłoni makietę kościoła lub domu, będącego przytułkiem. Znaczący wymieniają co najmniej 20 obiektów, które święta ufundowała, bądź wsparła fundacją, dzięki którym powstały. Z tych większych zadań inwestycyjnych jej inicjatywa (i środki) wsparły powstanie klasztoru cysterek w Trzebnicy, szpitala świętego Ducha we Wrocławiu, szpitala dla trędowatych w Środzie Śląskiej klasztoru augustianów w Nowogrodzie Bobrzańskim, i in. W życiu prywatnym też nie miała lekko, w końcu urodziła siedmioro dzieci. Została wydana za mąż jako... dwunastoletnie dziewczę,

więc raczej dość wcześnie jak na nasze obecne standardy.

Aż dziw bierze, że wszystkie te honory otrzymała, choć była za życia obywatelką Bawarii, to znaczy dziś niemieckiego landu. W dodatku inny Niemiec (właściwie Prusak), to znaczy Fryderyk II Wielki ufundował katedrę berlińską św. Jadwigi. Według współczesnych standardów logiki w tym nie ma – powszechnie szanowana w całej Polsce święta kobieta ma w końcu określoną ściśle proveniencję.

Jedną z anegdot z jej życia dotyczy Pogórze Izerskiego. Małżonek św. Jadwigi, książę Henryk Brodaty z lubością łapał jeńców i organizował z ich udziałem przeróżne roboty budowlane, fortyfikując granice księstwa. Jadwiga „podbierała” mu tych zniewolonych robotników do budów kościołów, a że miała naprawdę dobre serce, to podkarmiła ich trochę, żeby nie osłabli. Aby ukryć to swoje działanie kromki chleba nosiła pod szerokim płaszczem. Jednego razu wiatr zawiął i kromki zaczęły się sypać, spadając na ziemię. Ale... w tamtych czasach chleb był rodzajem świętości, nie mógł być zbrukany kurzem. Wtedy – cudem, oczywiście – pajdy chleba, wysypujące się spod płaszcza, zmieniały się w locie w płatki kwiatów i jako płatki spadały na ziemię. Dzięki tej metamorfizie uniknięto obrzydliwych obrazów.

Ilustracją tej historii jest figura na ołtarzu głównym małego kościoła w Niwnicach, pod Lwówkiem Śląskim, to jedna ze świątyń, które należy zobaczyć na Pogórze Izerskim, nie tylko ze względu na figurę św. Jadwigi, bo imponujących zabytków sakralnych w skromnej budowlu jest więcej.

Znak

Na jednym z odcinków drogi w Młędzu zauważyliśmy znak, którego nie znajdziemy w żadnych kodeksach, ani przepisach, a jednak – tym bardziej jest poruszający i zwracający uwagę. Z niewiadomych powodów bowiem w tym miejscu zdarzyło się sporo incydentów,



Flins, czyli Lwiniec – Duch Gór Izerskich

Przywrócić do życia legendę

Jak dla Karkonoszy Liczyrzepa, tak dla Izerów Flins jest mityczną postacią, która mogłaby stanowić symbol i magnes, także dziś. Czy mógłby stać się plastycznym wyróżnikiem obszaru Partnerstwa Izerskiego? – trudno rozstrzygnąć. Sprawa jest trochę skomplikowana, bo o ile postać Liczyrzepy ma swoją genezę historyczną, opartą w zapisanych mitach, to Flins budzi pewne kontrowersje i wątpliwości. Wiadomo też, kiedy powstał pierwszy rysunek Liczyrzepy, co do postaci Flinsa nie ma w tej sprawie jednoznacznych wskazań.

W opinii wielu historyków Flins jest bóstwem słowiańskim, prezentowanym w grafice jako stary człowiek (albo wręcz zmarły starzec), niosący na swoim ramieniu lwa. W rękę trzyma łaskę – płonącą pochodnię. Wzmianki pisane o nim pojawiły się wcześniej, niż grafika przedstawiająca Liczyrzepę, bo już w 1482 r., w tzw. Kronice Sasów. A znany wszystkim znak Liczyrzepy – dopiero na mapie Karkonoszy, stworzonej przez Hellwiga (1562). Status Ducha Izer wśród rdzennej ludności z obszaru Górnych Łużyc z pewnością był wysoki i powszechny, skoro już w 1524 roku ówczesny Świeradów-Zdrój otrzymał nazwę Flinsberg. Dwa wieki później (1782) był to już Bad Flinsberg. Zdaniem jednych był to bóg ludności pogórskiej z Górnych Łużyc i gór Harzu, zdaniem innych – Flins był bóstwem słowiańskim.

Interpretacja idei, jaką prezentuje Flins jest w miarę jednolita u różnych badaczy. Flins miał być symbolem budzącego się na wiosnę życia, ale wielu badaczy przekonuje, że był duchem zmarłych, który ich wskrzeszał, w czym swój udział w tym miał mieć towarzyszący mu lew. Flins nie zyskał autora – literata, zapisującego w uporządkowanych sposób legendy o nim, jak to się

w którym życie straciły małe zwierzęta, zapewne pupile rodzin mieszkających w nieodległych domach. Poza rutynowym znakiem drogowym, figurkami ofiar tych zdarzeń autor „znaku” dołożył jeszcze prośbę od siebie „proszę wolniej”. Zapewne dla wielu kierowców to oznaczenie jest co najmniej tak ważne, jak bardzo wysoki mandat. A może ważniejsze.

stało w przypadku Liczyrzepy. Takim autorem dla Karkonoszy był Johannes Praetorius, który nie tylko zapisał istniejące legendy, ale też wymyślił swoje autorskie. W tej sytuacji opisany szczegółowo w literaturze Liczyrzepa pozostawił daleko w polu swojego odpowiednika z Gór Izerskich.

Ale to, co dziś można uznawać za słabość Flinsa, łatwo da się przekuć w szansę dla nowych autorów legend o Izerach. Mitów tyjących samych gór i pogórze nie brakuje, ostatnio opublikowano kilka nowych, w żadnej jednak nie zaistniała wyraziście postać Flinsa. Może miłośnicy tych gór wezmą się do roboty, tym razem literackiej i stworzą zwartą publikację o postaci, która wskrzeszała, choć jej samej nie było wśród żywych, będąc jednocześnie symbolem odradzającej się wiosny? Jeśli ktoś zdecyduje się na podjęcie rękawicy i nadesłanie do naszej redakcji swoje dzieło, z przyjemnością je opublikujemy.



...i jeszcze raz powódź

Spośród miejscowości na Pogórze Izerskim Wleń jest jedną z najczęściej doświadczanych, a może najczęściej doświadczanych przez powódzie miejscem

Ostatnia powódź, z września ub. roku dotknęła wleńskie instytucje po raz kolejny bardzo mocno, niezależnie od kilkudziesięciu domów mieszkalnych ucierpiała także szkoła, jej aula, sala gimnastyczna i inne urządzenia oświatowe.

– Remont i modernizacja trwały ponad rok – usłyszeliśmy, ale teraz zapewne obiekt jest zabezpieczony przed podobnymi kataklizmami, m.in. przez zmiany konstrukcyjne. Aula został podniesiona o prawie 3 metry, w taki sposób, że nawet wysoka woda nie

przyczyni się do zalania tego obiektu. Byliśmy już tyle razy zmuszeni do gruntownych przebudów, że zdecydowaliśmy się na taki radykalny krok.

Planowane są też inne zmiany, m.in. przeniesienie wyżej części kuchennej, sportowej i hali gimnastycznej. Te przebudowy będą jeszcze trochę trwać, jednak tym razem wszystko będzie zabezpieczone, na tyle, na ile to możliwe przed kolejnym żywiołem, choć wciąż warto mieć nadzieję, że do takich zdarzeń nie dojdzie. Jednak, jeśli od 1997 roku minęły raptem trzy dekady, a w tym czasie kilkakrotnie mieliśmy co najmniej poważne kłopoty, to trudno być zdeklarowanym optymistą. Lepiej chuchać na zimne.

O słowach – sentymentalnie

Dziś, kiedy wystarczy znajomość 200 słów – 300, żeby porozmawiać o każdej sprawie, gdy stopniowanie przymiotników nie polega na tym, by mówić: – na przykład – wspaniały, wspanialszy, najwspanialszy, przewspaniały, itp. bo wystarczy super, mega i supermega. Szacunek dla słowa, jako wartości narodowej i – co by tu nie mówić – patriotycznej, zwolna przestaje istnieć.

Szanowany działacz społeczny w telewizji oznajmia, że „na ten temat to on nie ma nic do powiedzenia w tym temacie” i nikt się z takich lapsusów nie śmieje, a działacza palcem się nie wytyka. On sam też wcale nie jest zażenowany swoim występowaniem.

Ale i język się zmienia, i niektóre słowa – z czasem – zmieniają znaczenie. Gdy ktoś nazwie drugiego „urwipoleć”, to ma na myśli niesfornego chłopca, który odrobinę chuligani, ale generalnie jest w porządku. Urwipoleć brzmi wręcz pieszczotliwie. Nietrudno się jednak domyślić, że to słowo dawniej miało inne znaczenie i określało po prostu złodzieja. Takiego, który urwał poleć słoniny czy mięsa. Tylko... kto dziś używa słowa „poleć”? Kto wie, że to znaczy „spory kawał”? Albo „rzezimieszek”. To oczywiście też złodziej, ten specjalizujący się w obcinaniu mieszkań, w których dawniej noszono gotówkę. Złodziej odcinali noszone na pasku mieszki. Dziś „rzezimieszek” kojarzy się raczej z nożownikiem, hulającym po zatłoczonych galeriach handlowych.

Bywają wyrazy zabawne, nie zawsze logicznie ze sobą związane. „Mordoklejka” na oznaczenie cukierka sklejącego szczękę jest klarowna. Ale „łapiduch” jako określenie lekarza – niekoniecznie. Jest trochę bałamutne (a propos – kto dziś używa słowa bałamucić na oznaczenie zwodzenia, oszukiwania? Co jej bardziej naganne moralnie – bałamucenie dziewczyny/chłopaka, czy wyborców przez polityka?) Wracając do „łapiducha”. Doktor zajmuje się przecież ciałem, nie duchem, więc logicznie to określenie wprowadza w błąd. Obcokrajowców

zadziwia słowo „maształarz”, bo logicznie – przynajmniej fonetycznie – ilustruje gest podawania talerza, a w rzeczywistości określa zawód związany z końmi.

Zadziwiająca są nazwy miejscowości. Genezy niektórych nawet nie sposób się domyślić. Stary Bógpomóż – wieś w województwie kujawsko-pomorskim nieopodal Lipna. Nazwa pochodzi stąd, iż w legendach ludzie zwracali się do niebios o wsparcie, klęcząc pod krzyżem i wznosząc modły. Szczaworyż też brzmi niecodziennie, a to wieś w świętokrzyskim. Nazwa jest efektem przewziska, kierowanego do ludzi, którzy – pewnie z biedy – gustowali w potrawach ze szczawiem. Nieświn to także wieś z tamtego województwa. Jęczydół to wieś w województwie zachodniopomorskim. W tym ostatnim przypadku nazwa ma głębokie historyczne uzasadnienie. Nawiązuje do legendy o przebiegłym mnichu i naiwnym diable, który po przegranej zakładzie z zakonikiem długo i głośno rozpaczał. Z nazwami starych miejscowości tak zresztą często bywa. W końcu Ściegny (a nie Ściegny) pod Karpaczem wzięły swoją nazwę od słowa „Stegna”, które dawniej oznaczało ścieżkę, a Ściegny to wieś wzdłuż długiej drogi, „łańcuchowa”.

Trochę szkoda, że odeszło w zapomnienie słowo „absztyfikant” oznaczające dawniej zalotnika. Miało swój wdzięk, którego nie zastąpi określenie, że to ktoś, kto „idzie na kwadrat, żeby wyrwać łaskę”.

Zapytaliśmy swego czasu jedną z naszych rozmówczyń, niewiele ponad dwudziestoletnią osobę, operującą niezbyt wielkim zasobem słów, dlaczego nie poznaje innych, choćby synonimów? – A po co? odpowiedziała pytaniem na pytanie. – Choćby dlatego, żeby zaimponować w kręgu znajomych – rzuciliśmy niebacznie. – A po co? – powtórzyła. – Im imponują inne sprawy, a jak zacząć wydziwiać i popisywać się, to oni nie rozumieją, i tylko się ośmieszają, więc to byłaby strata czasu.

Zgodzić się z tym trzeba, zaakceptować – niełatwo.

Owadzi developer

W różnych miejscach Pogórze można spotkać domki dla owadów, ale na skraju boiska w Rębiszowie są aż trzy, w dodatku jeden z nich o wyjątkowo niespotykanej urodzie. Sam stadion pełni swoją rolę przez niemal cały rok, bo poza wytyczonym boiskiem do piłki nożnej, urządzeniami do zabawy dla dzieci w granicach terenu, a także siłownią na świeżym powietrzu, zadaszeniem dla grilla i innymi drobiazgami znalazły się też domki dla owadów. Inicjatorzy budowy tych ostatni ich wykazali się wyobraźnią i pomysłowością większą, niż niejeden developer domów dla ludzi. Poza standardowymi, „fabrycznymi” domkami można tu zobaczyć coś w rodzaju totemicznego słupa, a w jego wydrążeniach specjalne patyczki, które mogą być schronieniem dla owadów. Gratulacje. Chciałoby się powiedzieć: „Skromne, choć nie złote, a jednak urzekające swoją urodą”.

